

VarArt

pismo kulturalno-literackie
nr 01/2018 (38)



ISSN 2080-1483

STANISŁAW CZACHOROWSKI

Kobietę (samico), przy garach lepiej siedź?

100-lecie nabycia praw wyborczych przez kobiety w Polsce

Wiosną myślimy o kobietach. W kwiaciarni pojawiają się tulipany, w przyrodzie zaczynają kwitnąć leszczyna, przebiśniegi, zawilce. Ze snu budzą się motyle cytrynki latolistki. Najpierw pojawiają się samce. Samiczki potrzebują odrobiny więcej ciepła... Kobiętom, szarmancko, 8 marca wręczamy kwiaty, czasem rajstopy i... do garów. Kobięty oczywiście. Po świętowaniu wraca proza życia.

Wczesną wiosną pojawiają się pszczołowate: pszczoły samotnice, trzmiele itd. Przed moim blokiem pojawiła się pszczolinka, która nawet polskiej nazwy nie ma – Andrena clarkella. Nawiązując do starczych synonimów, można byłoby ją nazwać pszczolinką nieparką lub pszczolinką trójbarwną. Samotna matka wychowująca dzieci. Na jej głowie utrzymanie gatunku. Podobnie u trzmieli (społeczne pszczołowate) ta pierwsza, wiosenna samica staje się królową. A samce? Pojawiają się na krótko, trutnie jedne, i tylko jedno im w głowie. Amory. Niewielu się udaje, inne bżyczą nadaremno.

Samice pszczolinek, pszczół i trzmieli pracowicie zbierają pyłek kwiatowy i nektar. Można w przenośni powiedzieć, że są „przy garach”. W naszej kulturze dajemy tej czynności niską rangę, podrzędną.

W tym roku świętujemy 100-lecie nabycia praw wyborczych przez kobiety w Polsce. Uzyskały je jako jedne z pierwszych w Europie. Czemu tak późno? Lub czemu w ogóle? Jeszcze do połowy XX wieku podkreślano, że kobiety mają mniejszy mózg niż mężczyźni. W domyśle są mniej inteligentne. Zatem nie powinny mieć ani praw wyborczych (polityka to nie na ich głowę), ani takich samych zarobków co mężczyźni. Kobięty do garów? Tak jak u pszczołowatych?

Biolodzy ewolucyjni śledzili wzrost wielkości czaszki (a więc i mózgu) u naszych przodków. Zakładano, że większy mózg to i większa inteligencja. Okazało się jednak, że w przeszłości mózg rósł, a narzędzia pozostawały takie same. Gdzież więc ta domniemana, większa inteligencja? Najwyraźniej pojawiła się przy okazji ewolucji hominidów i to nieco później. Jak więc wytłumaczyć powstanie dużego mózgu człowieka? Jedną z koncepcji jest mózg społeczny: więcej neuronów potrzebne było naszym przodkom do... utrzymania szerszych i bogatszych relacji między osobnikami w grupie (kontakty społeczne). Większa grupa to większy sukces i możliwość pokonania nie tylko przeciwności losu, lecz i konkurentów z innych hord (grup, plemion). Tak odkryto inteligencję społeczną. I okazuje się, że kobiety są w tym lepsze...

Powstanie mowy uważane jest za jedną z ważniejszych innowacji w ewolucji człowieka. Umożliwia ona utrzymanie więzi i relacji w dużych grupach. Tak zwane kobiece plotki są bardzo ważne w utrzymywaniu relacji międzyludzkich. Mężczyźni są stanowczo bardziej milczący. I silniejsi fizycznie.

Kolejną bardzo ważną innowacją była termiczna obróbka pokarmu. Czyli gotowanie, pieczenie, przyrządzanie go w ognisku i w „garach”. Można śmiało powiedzieć, że gotowanie stworzyło człowieka. Niewątpliwie wielką w tym zasługą kobiet. Dochodzimy do analogii z samicami pszczołowatych i wiosennej pszczolinki oraz trzmieli.

Skoro kobiety tak dużo wniosły w rozwój człowieka jako takiego i ludzkości jako zbiorowości, to dlaczego tak późno panie otrzymały prawa wyborcze? Bo mężczyźni są silniejsi i stworzeni do spraw „zewnątrznych”?

W nowej ustawie o szkolnictwie wyższym zanosiło się na dużą zmianę: zrównanie wieku emerytalnego nauczycieli akademickich – kobiet i mężczyzn. Ale ostatnie – poprawki zmianę te usunęły. Kobięty naukowcy na emeryturę przejdą jak do tej pory w wieku 60 lat, panowie w wieku 65. Przecież kobiety średnio statystycznie żyją dłużej. To raczej powinno być odwrotnie. Krótszy wiek pracy to uznanie czy dyskryminacja? W każdym razie marnotrawstwo dużego potencjału wiedzy i doświadczenia.

Kobięty mają głos (wyborczy). Już od stu lat. A w zasadzie to „od zawsze”. Mimo że są „przy garach”. A ja tymczasem wracam do wiosennych obserwacji owadów zapylających. Samice pszczołowatych się krzątają. Bez ich pracy nie byłoby owoców, z których tak obficie czerpiemy. A żeby im się dobrze żyło, potrzeba nie jednego kwiatka na 8 marca, ale całorocznej łąki kwiatowej. W mieście. W każdym mieście.



Rys. Karolina Lewandowska

W NUMERZE 01/2018:

02 KIJ W MROWISKO

STANISŁAW CZACHOROWSKI: Kobięto (samico), przy garach lepiej siedź?

04 WYWIAD

z RENATĄ ZIMNICKĄ-PRABUCKĄ rozmawia IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK: W swojej twórczości, musisz być po prostu sobą

08 POEZJA

LERA MANOWICZ

11 PROZA

DMITRIJ KUZMIENKO, EWGENIJA DOBROWA: Każdy może zostać księżniczką

14 PROZA

DARIUSZ GÓRKIEWICZ: Powiedz to głośno (fragment powieści)

16 GALERIA

RENATA ZIMNICKĄ-PRABUCKĄ

18 HISTORIA PEWNEGO DOMU

ZDZISŁAWA ŁUKASZEWSKA: Dobry duch Zatorza

20 INICJATYWA

OLGA OSTROWSKA: Stowarzyszenie Kobięty „Miej marzenie”

22 FELIETON

EWA KOZŁOWSKA: Kultura przy lampach gazowo-naftowych

24 WYWIAD

Feminizm?: URSZULA MACIĄG rozmawia z uczennicami i nauczycielem Liceum Ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza w Olsztynie

26 FELIETON

OLGA ŻMIJEWSKA: Czy popiera Pani ubezwłasnowolnienie kobiet?

27 RECENZJA

JUSTYNA ARTYM: Męczenie Heideggera

28 RECENZJA

KATARZYNA GUZEWICZ: Masłowska wielką pisarką jest

28 RECENZJA

URSZULA WITKOWSKA: O pisarce

30 POEZJA

Z półki Półkowniczki

Rok Kobięty jest doskonałą okazją do przyjrzenia się, jakie są kobiety w dzisiejszych czasach. Czy współczesne kobiety to „kapryśne” księżniczki, jak w bajce Dimitrija Kuzmienkowa i Jewgeniji Dobrowy? A może są świadome siebie, jak pisarki Tamara Bołdak-Janowska, Dorota Masłowska i Virginia Woolf recenzowane przez Justynę Artym, Katarzynę Guzewicz i Urszulę Witkowską? Czy próbują „mieć marzenia” i je spełniać, tak jak członkinie stowarzyszenia przedstawionego przez Olę Ostrowską? Może realizują swoje cele, jak Zdzisława Łukaszevska ze Stowarzyszenia „Nasze Jakubowo”?

Na kolejnych stronach licealistki z LO I w Olsztynie i Olga Żmijewska zastanawiają się: Czym tak właściwie jest dzisiaj feminizm? Czy potrafimy korzystać z wywalczonych praw i czy jest coś jeszcze do zrobienia?

Nie zapominamy także o tradycyjnych rolach kobiet: matki, żony, opiekunki domu. Ewa Kozłowska i Stanisław Czachorowski podkreślają wkład kobiet zarówno w rozwój ludzkości, jak i lokalnych społeczności. Wizerunek kobiety zakorzeniony w kulturze przedstawiają w obrazach Renata Zimnicka-Prabucka oraz w poezji Karolina Szymańska, Monika Stępień i Marta Pietraszun.

Z okazji 100-lecia praw wyborczych kobiet w Polsce oddajemy w Państwa ręce nowy numer VariArt. Niech równouprawnienie będzie z Wami!

Redakcja

VariArt

VariArt. Pismo kulturalno-literackie. ISSN 2080-1483
Nr 01/2018 (38)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
<http://aresztsztuki.wixsite.com/olsztynart>; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny:

Iwona Bolińska-Walendzik, Joanna Cieślińska, Urszula Maciąg, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Krzysztof D. Szatrawski
e-mail: variart@wbp.olsztyn.plGrafika: Przemek Kozak, skład: Karolina Lewandowska
Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski OlsztynZrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Z RENATĄ ZIMNICKĄ-PRABUCKĄ ROZMAWIA IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

W swojej twórczości musisz być po prostu sobą

Jak to się stało, że z technikum budowlanego trafiłaś na studia plastyczne?

Gdy jesteś młodym człowiekiem, to tak do końca nie wiesz, jakie masz predyspozycje. Wybór technikum był przypadkiem. Moja mama i nauczyciel techniki mówili mi, że dobrze piszę pismem technicznym i że może w tym kierunku warto się rozwijać. Miałam trochę naiwne wyobrażenie, że po ukończeniu tej szkoły będę stała i kreśliła rysunki. Całe szczęście, że trafiłam na studia plastyczne, chociaż wcześniej nie lubiłam plastyki. Bo wszyscy musieli malować tak jak ten, który dostaje piątkę. A na studia plastyczne poszłam trochę za namową koleżanki z technikum – Moniki Kopciuch. Kiedy nie dostałam się na filologię polską, zaproponowała, żebym poszła na plastykę. Chociaż nie byłam pewna tego, czy potrafię coś stworzyć. Żeby się przygotować trafiłam do Pałacu Młodzieży, na dosłownie kilka zajęć, do pani Alicji Kusajdo, no i spodobało mi się. Wszyscy tam się przygotowywali na studia już po kilka miesięcy, a ja pojawiłam się i, tak na zasadzie zabawy kolorem, malowałam intuicyjnie. Jednak znalazło to jakąś aprobatę u pani Alicji i nawet mnie oraz Monikę wyróżniła na wystawie po latach, na której miała pokazać tych, którzy nadal coś tworzą.

Od początku swojej drogi artystycznej podziwiałaś malarzy ekspresjonistów i kolorystów. Jaki mieli oni wpływ na Twoją twórczość, skąd zainteresowanie właśnie takim rodzajem sztuki?

Idąc na studia plastyczne, nie miałam jeszcze takiej świadomości. Oczywiście, ogólne przygotowanie z historii sztuki posiadałam. Do egzaminów przygotowywałam się sama. Na studiach zaczęłam oglądać dużo albumów, miałam taką wewnętrzną potrzebę. Wtedy jeszcze nie było takiego dostępu do komputera jak teraz. Dużo katalogów i albumów pokazywał nam profesor Janusz Kaczmarek, w którego pracowni byłam.

No właśnie, nauczyciel, mistrz, profesor widzi w swoich studentach pewne predyspozycje. Czy z Tobą tak było?

Dokładnie, tak też było u mnie. Z profesorem Kaczmarem miałam zajęcia malarskie i plenery przez pięć lat. Właściwie jestem jednym z jego ostatnich studentów. Po ok. 1999 roku profesor poszedł na emeryturę. Te pięć lat w pracowni było bardzo ważne, zwłaszcza później docenia się tę wspólnie przeżytą drogę i osobę, która Cię prowadziła przez te lata. Na pewno moje predyspozycje kolorystyczne, moją zabawę z kolorem na początku mojej drogi twórczej, zauważył profesor Kaczmarek. Później

widziała ją również profesor Joanna Stasiak. A na studiach doktoranckich profesor Aleksandra Simińska. Obie były studentkami profesora Kaczmarek.

Duży wpływ mieli na Ciebie Twoi prowadzący, ale nie można powiedzieć, że malujesz jak, powiedzmy, profesor Kaczmarek.

Kiedy na początku drogi widzisz przykłady dobrego malarstwa i fascynujesz się nim, trudno jest nie ulec tym wpływom. Podczas studiów zarzucano mi, że jestem podobna w malarstwie do prowadzącego profesora Kaczmarek czy do prowadzącej profesor Simińskiej. W czasie studiowania było to takie nieświadome, inspirujesz się, bo coś Ci się podoba, jakaś forma w danym obrazie, w danym malarstwie i zaczynasz w ten sposób samemu patrzeć na świat. Pamiętam, że profesor Kaczmarek pokazywał nam wielokrotnie kolorystów polskich, i ekspresjonistów, i właściwie wszystkich, którzy mieli coś do powiedzenia w kwestii koloru. Sam bardzo dbał o materię kolorystyczną obrazu, uczył szacunku do tradycji kolorystycznej. Nie wystarczy malować kolorami, trzeba je jeszcze ustawić odpowiednio w obrazie, w odpowiedniej tonacji, w jakiejś odpowiedniej gamie, z jakimiś kontrastami. Oczywiście obok tego „koloryzmu”, wrażliwości na kolor to właściwie ważny też jest temat w malarstwie.

Do tego też chciałabym się odnieść, bo skupiasz się w swej twórczości na pewnych tematach, to – co malujesz, jest równie ważne jak to, jak malujesz. Często Twoim tematem jest lokalna sztuka sakralna, życie codzienne.

W trakcie studiów jeździliśmy na plenery. Między innymi byliśmy w Trękusie i tam oglądaliśmy rzeźby w kapliczkach. Podobne rzeźby wcześniej już znałam z tutejszych okolic, widziałam je w czasie, gdy mieszkalam w Cerkiewniku, z którego pochodzę. Były one w wioskach, w przydrożnych kapliczkach. Później te piety i inne zgromadzone rzeźby oglądaliśmy w Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie i w Lidzbarku Warmińskim. Była też taka duża wystawa w muzeum w 2001 roku „Święci warmińskich kapliczek”, w której brali udział studenci, między innymi również ja. I tak się zaczęło moje wystawianie się ze świętami. Już kilkanaście lat trwa przygoda z warmińskimi świętami, której początek był na studiach. Potem oczywiście można było z tego tematu korzystać, a można było o nim zapomnieć i pójść zupełnie inną drogą, wejść w inny temat. Mnie fascynowała historia sztuki, wielcy mistrzowie, którzy są ugruntowani w historii. Wciąż wracam do Henriego Matisse’a. Jest on bardzo mocny



Fot. z archiwum Renaty Zimnickiej-Prabuckiej

kolorystycznie, dźwięczny, wyszukany, jest u niego prostota, synteza, którą chciałoby się w malarstwie samemu osiągnąć. U Pabla Picassa fascynowała mnie jego brawura malarska. Później było bardzo różnie, bo i fascynował mnie przez krótki moment na przykład Jan Cybis, taką rozwibrowaną plamą malarską, charakterystyczną fakturą. I to takimi falami idzie. Wszystko łączyło się z ekspresjonistami, ekspresjonizmem, a jednocześnie z poszukiwaniem takiej syntezy i oszczędności jak u Matisa.

Bieżący numer pisma „VariArt” poświęcony jest kobiecie. Kobiety w Twojej twórczości jest dużo, zwłaszcza ostatnie prace i ostatnia wystawa o tytule „Mater”. Skąd inspiracje?

To są inspiracje, jak było u mnie zawsze – przez oglądanie. Jak oglądałam album, to mam coś takiego, że chcę zrobić sobie swoją wersję, jakby wariant pięknego obrazu, który oglądałam. Albo gdy nie mam szans obejrzeć danego dzieła na własne oczy, tylko oglądałam go po wielokroć, latami w albumach, to on wraca w postaci inspiracji. U mnie ta inspiracja matkami wynikała też, tak mi się wydaje, z tego, że gdzieś tam obraz matki, Madonny zawsze mi towarzyszył. Jestem osobą, która uczęszcza do kościoła, dla której religia jest ważna. Kiedyś grałam na organach, byłam organistką. Kościół zawsze był mi bliski i obrazy znajdujące się w nim, na które patrzyłam jako dziecko. Teraz wiem, że patrzenie na jakiś obraz to już początek czegoś nowego i tak to się odbywa, że po latach możesz wrócić do tematu bardzo prostego z jednej strony, niewymyślnego, ale bliskiego i bardzo ważnego.

Twoje Madonny nie są takie na wprost przeniesione z istniejących kościołów. Umiejscawiasz je w nietypowych sytuacjach, uciekające lub gdzieś między drzewami. I tutaj mogę zacytować wypowiedź Mariusza Sieniewicza – „w twórczości Zimnickiej tkwi niepokój”. I ten niepokój jest wyczuwalny, w tych

ostatnich pracach również.

Ten niepokój jest. W moich obrazach, gdzie jest coś jeszcze oprócz przeniesionego wizerunku Matki Boskiej, jest także niepokój. Są przepiękne przykłady tego typu malarstwa. Jednocześnie można być posądzonym o temat dewocyjny, przenosząc motywy jeden do jednego. Nie o to mi chodziło, chciałam podejść do tego tematu po swojemu. Czyli pokazać, jakie ja mam odczucia. Oczywiście, ta matka jest taka niepokojąca przez to, tak sobie myślę, że z jednej strony jest miłosierna, otwarta, jednocześnie jest ona „Mater Mundi” – Matką Świata i może być wszędzie, na przykład w pejzażu, który zawsze był mi bliski z racji wsi, w której się wychowałam, gdzie pejzaż przenika wszystko. Rzeczywiście niektóre moje matki są bardziej dramatyczne, tak jak matka z dzieckiem pośród lasu. Ostatnio maluję w domu, który jest blisko lasu, to tak siłą rzeczy ten las gdzieś wchodzi w obraz. Ta bliskość natury, wokół której przebywam, wkracza w moje malarstwo. To jest moje przedstawienie matki, która jest taką uniwersalną i niejednoznaczną postacią kobiecą. Na początku była matka z dzieckiem albo też takie postaci z dzieckiem, bo bliski był mi ten temat ze względu na moją osobistą tragedię. A obrazy, które oglądałam na przykład Andrzeja Wróblewskiego poruszały mnie, bo są i były prawdziwe. No i chyba o to chodzi, żeby obraz był prawdziwy. On się może zmieniać, ale żeby był na ten dany czas dla mnie prawdziwy. Żeby przystawał do tego, co teraz czuję. Ten niepokój jest w większości prac, bo też tak odbieram życie. Jestem trochę lękliwą osobą, może przez to malowanie chcę poczuć się trochę bardziej odważna?

Matki z cyklu „Mater” robią wrażenie i rozmiarem, i potraktowaniem tematu. Zawsze szukałaś motywów, które mówiły o prostym świecie, ale też o tym, że coś się może wydarzyć. Nawet gdy cytowałaś swoich mistrzów, to też nie był to świat jednoznaczny, coś się kryło za rogiem.

W cyklu „Bachantki”, odnoszącym się do „Bachantek” Eurypidesa, cyklu związanym z mitami, było poczucie jakiejś grozy, winy i wymierzania kary. Czegoś, co dotyka i co kończy się jakimś morałem dla potomnych. Potem był cykl „Upadków” — postaci rzucające się w jakąś otchłań, w jakieś czeluści, szukające pomocy, poszukujące czegoś. To też jest takie moje poszukiwanie i wybieranie postaci, kadru, tak, żeby oprócz tego co przedstawia obraz krył w sobie również jakąś tajemnicę, coś głębiej, coś dalej. Wtedy właściwie obrazy są interesujące, jeżeli mają drugie dno, tajemnicę. Nie buduję obrazów dla samej idei tajemnicy, to właśnie wynika z jakiejś takiej czasowości. Jesteśmy śmiertelni, ta czasowość jest nam przypisana i to tak się odbywa, że te obrazy w historii sztuki na mnie działają, które, oprócz tej warstwy kolorystycznej, są świetnie zharmonizowane, coś wyrażają. Takie uniwersalne prawdy o kondycji człowieka, jaka ona jest. Mówią może o jakichś przestrożach. Moje matki, chciałam, żeby były właściwie takie. Chciałam namalować matkę pokoju i rzeczywiście pierwowzorem była Matka Boska ze Stoczek Klasztornego zobaczona podczas pleneru, taka dostojna i z gwiazdą na ramieniu, symbolem pokoju. Figurę obserwowałam długo i miałam ją przed oczyma, ale namalowałam na tle niskiego horyzontu. Matka Boska zrobiła się taka wyniosła, a jednocześnie niepokojąca przez plamy kolorystyczne ściekające w tym obrazie. To jest moja pewna refleksja dodana do obrazu w Stoczku.

Czy cały cykl jest oparty na tym konkretnym przedstawieniu ze Stoczek?

Nie, tylko jeden obraz, o którym myślałam, żeby go zrealizować. Kolejny to matka wśród drzew, która może działać też współcześnie przez to, że czasy są takie, a nie inne — drapieżne. Wiele jest osób opuszczonych, które są gdzieś tam w różnych miejscach świata. Nie chcę tego podpisywać bardzo jednoznacznie, takimi tytułami, które pasowałyby do dzisiejszych czasów. Po prostu matka jest odwiecznym symbolem nadziei, jakiegoś miłosierdzia, pokoju, czyli takiego naszego zawierzenia tej matce. Na ile to potrafimy — nie wiem.

Przygotowując się do rozmowy natrafiłam na „Szkicownik monumentalny”. Skąd pomysł czym on jest?

Jest to moje tradycyjne podejście do warsztatu, zazwyczaj najpierw robię szkice. Nie do wszystkich obrazów, ale w większości po prostu szkicuję. Szkicownik to jest taki codziennik, prawie że codziennik rysunkowo-malarski, bo czasami są tam akwarele, a czasem rysunki. Postanowiłam jakąś ich część wydać. Chciałam zobaczyć je jako pewien skończony cykl z wybranych szkicowników. A monumentalny dlatego, bo niektóre prace, które tam zawarłam, powiększyłam. Szkicownik wydrukowałam w niewielkim formacie, w formie małego pamiętnika, żeby to nie był album, tylko coś innego, coś bardziej intymnego. Są tam również rysunki moich dzieci czy scenki

rodzinne. Jak już powiedziałam niektóre z tych rysunków powiększyłam do formatu 100x70 cm i przygotowałam wystawę pt. „Szkicownik monumentalny”. Potem można zobaczyć, jak i czy malutkie akwarele w takim dużym powiększeniu działają. Namawiam też studentów, żeby różnie podchodzili do swoich prac, druk już nie jest taki drogi, wszystko jest tak dostępne. Rysunki są świetne jak się je powiększy.

Wróćmy jeszcze do początku naszej rozmowy, chciałaś zostać polonistką, jesteś osobą wielu talentów: organistka, technik budowlany, zamiłowanie do słowa. Tytuły, które nadajesz swoim pracom, to w jaki sposób myślisz odzwierciedla wielość Twoich zainteresowań.

Okres studiów jest ważny dla każdego studenta i ważne jest jaki ma pomysł na siebie, jak realizuje siebie oprócz samego studiowania. Ja miałam możliwość działania w „Portrecie” i to był piękny czas. Mogłam znajdować się wśród ludzi w większości piszących, operujących właśnie słowem i przysłuchiwać się ich wypowiedziom, czasami krytycznym, dotyczącym literatury. To też było dla mnie bardzo rozwijające i budujące.

Między jednym a drugim okresem czasu, tzn. między studiami a chwilą obecną, jak wyglądała Twoja droga twórcza?

Miałam taki czas po doktoracie, po 2006 roku, gdy przygotowywałam się do habilitacji i malowałam prace, które były cytatami malarskimi. I były to cytaty do obrazów Pierro de la Francesca, Davida Hockneya, H. Matisa, P. Picassa, Francisca Bacona — wszystkich moich ulubieńców. Tak się dzieje, że czasami obrazy same niosą — od jednego do drugiego. I tak naprawdę kierujesz się tym czym nasiąkałaś, z jakiego miejsca wyszłaś i przez całe swoje dotychczasowe twórcze działania i obserwacje doświadczasz. Jednych artystów odrzucałam, nie lubiłam na przykład abstrakcji, nie lubiłam malowania sposobem, gdzie tylko technika się liczy, a nie wszystko inne... To jest trudne do powiedzenia, dlaczego jeden obraz mnie przekonuje, a drugi nie. Właściwie kierowałam się też tymi twórcami, bo czułam, że trzeba się uczyć od najlepszych. Dlaczego np. Bacon był bardzo ważny — bo zobaczyłam po raz pierwszy, że ktoś może malować piekło i takie straszne rzeczy. Piekło było też w pewnym momencie przedmiotem mojej fascynacji. Niesamowicie pokazał piekło między innymi profesor Grzegorz Bednarski, jego cykl gwaszy, pasteli, inspiracji Dantem, to było dla mnie wchodzenie w inny świat malarski. Tego typu obrazy, oprócz poruszania pięknych tematów, mówiły o takich rzeczach, przy których człowiek powinien się co najmniej zastanawiać. Piekło też istnieje. To nie znaczy że musisz się katować w swojej twórczości, musisz być po prostu sobą.

Mówiłaś parę razy o prawdzie, prawdzie, która wynika z autentyczności tego, co się robi. Ta prawda jest wiarygodna i głęboko trafia do odbiorcy.

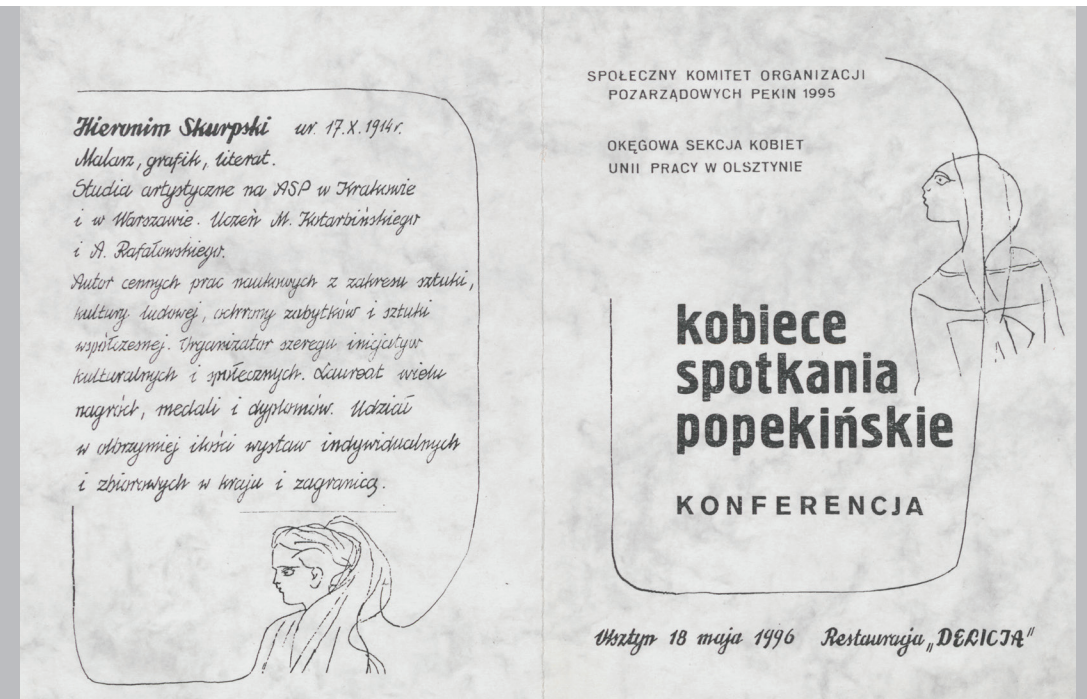
Niektóre moje obrazy w ogóle nie trafiają do ludzi, tak mi się zdaje, i się temu nie dziwię. Po prostu tak jest i to jest naturalne. Do jednych trafia to, co ja maluję, drudzy szukają czegoś innego w sztuce. To jest normalne.

Czy jesteś walczącą artystką?

Walczenie przychodzi mi trudno. Dużo rzeczy można pokazać poprzez obraz i niekoniecznie trzeba malować sztandary, napisy, manifestacje i silić się na bardzo współczesny język. Popatrzmy na wcześniejsze malarstwo. Caravaggio pokazywał walkę poprzez światło i cienie, my do dzisiaj zastanawiamy się nad jego obrazami. Cały czas na nowo można jeden obraz odczytywać, analizować bez względu na to, ile czasu upłynie,

historie się powtarzają. Walka dobra ze złem przecież jest cały czas. Można namalować obraz i tak... Jak maluję cykl z chłopcami (maluję rzeczywiście swojego syna, jako modela w obrazie) i można nazwać taki obraz jednoznacznie „Chłopiec z Aleppo”, a ja nazywam swoje obrazy po prostu „Chłopiec stojący na krześle” i tylko tyle. Chciałabym, żeby ten temat albo właśnie to, że z obrazu wypływa jakiś niepokój czy prawda, czy jedno i drugie, odnosiło się być może i do takiej sytuacji, takiej tragedii. To takie życzenie malarza, by niektóre obrazy mogły zadziałać uniwersalnie, a jednocześnie aktualnie, by były prawdziwe po prostu. Na marginesie... dzisiaj tak zwana „nadprodukcja obrazów” szkodzi.

Dziękuję za rozmowę.



Zaproszenie na „Kobiety Spotkania Poekińskie”* z archiwum Marii i Marka Skurpskich

*SPOŁECZNY KOMITET ORGANIZACJI POZARZĄDOWYCH PEKIN 1995 (SKOP) był grupą nieformalną i stanowił forum współpracy organizacji pozarządowych i osób niezrzeszonych. Komitet działał na rzecz równego statusu płci poprzez promowanie idei IV Światowej Konferencji na rzecz Kobiet w Pekinie i jej dokumentu końcowego zwanego Platformą Działania. Został założony 15 listopada 1994 r., a w 1998 r. przekształcił się w formalne Stowarzyszenie na rzecz Równego Statusu Płci — Pekin 1995 (zarejestrowane 24.04.1998 r.). W ramach działalności SKOP zorganizowano m.in. cykl konferencji w różnych miastach polskich ph. „Kobiety Spotkania Poekińskie”: Olsztyn, Poznań („Kapitalizm w rękach kobiet”), Toruń, Wrocław, Tarnów („Przemoc w rodzinie”).

LERA MANOWICZ

WIERSZE przełożył Krzysztof D. Szatrawski

TOŁSTOJ

We śnie
wciągnęłam kolorowe rajstopy.
Nogi były długie i grube
jak kominy parowca,
jak te drzewa w Jasnej Polanie,
gdzie nas przywieźli w zakurzonej autobusie,
a jakiś mały chłopczyk płakał i krzyczał,
że nie chce zobaczyć
jak żył wielki pisarz.

W DNIU URODZIN COUSTEAU

mój ojciec odszedł od mojej matki
później odszedł od kobiety
do której odszedł od matki
i od kobiety
do której odszedł od kobiety
do której odszedł od matki
teraz jest zameldowany
na ulicy Jacquesa-Yvesa Cousteau
w Nowoj Usmani
więjsci uczeni
nie znają się na deklinacjach
wpisali w jego paszporcie
ulica Jacquesa-Yves Cousteau
ojciec się denerwuje
z powodu tego błędu
z powodu wszystkich błędów
znów chciałby odejść
ale iść nie ma już dokąd
mój smutny ojciec
z ulicy Jacquesa-Yves

CHOMIK

Zbliżała się burza
Staliśmy pod brzożami
Ja, twoja matka i twoja żona
Z dzieckiem na rękach

Spoglądałam na tę dziewczynkę
Z maleńką główką i
Oczyrna mętnymi jak u kociaka
Na córkę człowieka, z którym

Kiedys byliśmy tak blisko
Że w żaden sposób nie mógłby
Zmieścić się pomiędzy nami nikt
Nawet malusieńkie dziecko

Nawet kociak albo szczenię
Nawet chomik, którego kiedyś kupiliśmy
Aby żyć we troje
A potem zostawiliśmy na parapecie
Jak zostawialiśmy kwiaty albo kaktusy

Panie Boże, jakże mocno kochaliśmy
I jak smętny był owoc naszej miłości
W postaci brązowego martwego chomika
W szklanym stoju

I oto stoimy: twoja matka, twoja żona i twoja córka,
Ja. Zbliża się do nas burza,
Brzozy potrząsają zielonymi gałązkami
A ja niczego nie mogę poczuć.

VENTSPILS

nikt już dzisiaj nie kupi
kwiatów na placu
stara kobieta w wielkiej czapce
odejdzie rozczarowana
kwadratowy zegar
zastygnie zaskoczony
akordeonista na Katrinasiela
nie podniesie oczu

trochę zbyt wcześnie na pożegnanie
dlaczego opuszczamy Ventspils?

przestrzelona głowa fontanny
spogląda z wyrzutem
kolorowe grzbiety krów
stygna na wietrze
nikt nie pogłodzi
smutnych burt drobnicowca
z białymi znakami

opuszczamy Ventspils

kobiece dłonie
ubijają na poddaszu poduszkę
która zapomina twoją potylicę
nocny szept
zawisł między ramami

miasto wymyka się
z rąk
jak drobna ryba
i sól zostaje na walizkach

PIERWSZA NAUCZYCIELKA

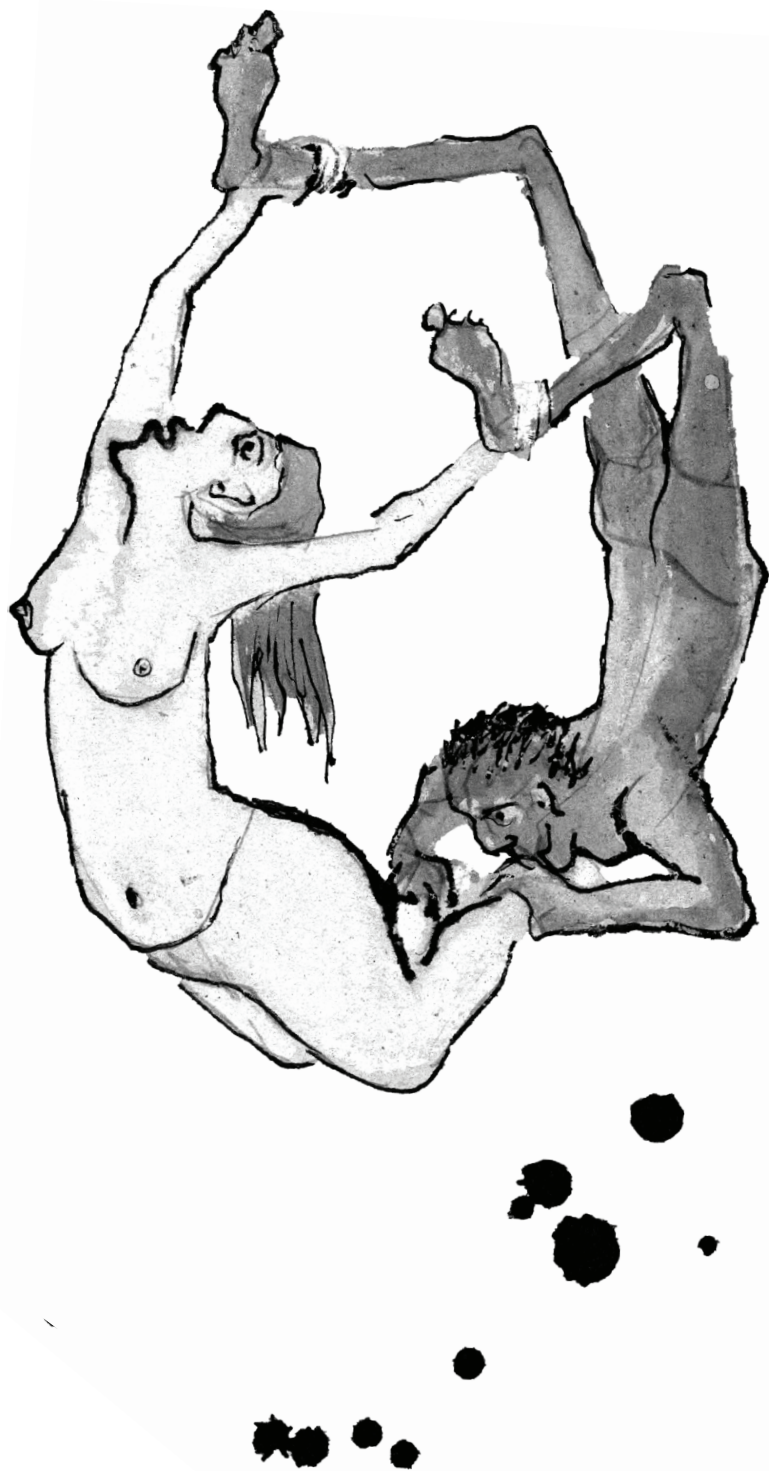
moja pierwsza nauczycielka
Aleksandra Wasiljewna
żyje w granatowej teczce z tasiemkami

pozostał po niej tylko
czarno-biały portret
twarz w owalu
otoczona
dziecięcymi owalami
wygląda dostojnie
jak królowa matka
w mrowisku szkoły
niech pani spoczywa w pokoju
Aleksandro Wasiljewna
nie mamy już
ani zapalek
ani papierosów
wymarliśmy
nawet nie wykuliśmy się z jaja
zachłystnąwszy się wywoływaczem
za mało mieliśmy pani ciepła
pani światła
i teraz to my jesteśmy
błyszczący i pokorni

LERA MANOWICZ jest absolwentką Uniwersytetu w Woroneżu (mgr matematyki) oraz Instytutu Literackiego im. Gorkiego w Moskwie. Jej wiersze i opowiadania publikują pisma literackie – Arion, Družba Narodov, Oktiabr, Ural i inne. Prezentowane wiersze pochodzą z książki „Wiersze dla Moskwy”, która ukaże się w tym roku nakładem moskiewskiego wydawnictwa Russkii Guliver.

FRYZJERKI

trzymają w dłoniach obce głowy
 smutne spadkobierczynie Dalili
 przypominają zmęczone aktorki
 Kobieta na sąsiednim fotelu
 prosi by zrobić z niej kogoś wesolego
 ma czerwony koniuszek nosa
 i nisko opadające usta
 przypomina kwiatek
 który ktoś rozdeptał
 Robią jej jasne, lekkie kędziorki
 teraz przypomina dziewczynkę
 której przeszczepiono twarz
 Tadżyczka
 zamiatając włosy
 rozmawia przez telefon
 w niepokojącym języku
 „Jakże ty mówisz
 «kocham cię»
 a twoje serce nie jest ze mną?»
 mówi
 „Trzy razy mnie oszukałeś
 i nic nie powiedziałeś” — mówi
 i wyrzuca
 włosy do kosza
 Fryzjerki z twarzami staruszek
 i figurami uczennic
 palą przy wejściu
 podczas gdy nadtlenek wodoru
 zmusza włosy
 by zapomniały o swoim kolorze
 by zapomniały o przeszłości
 Witajcie, fryzjerki
 przynoszę wam
 swoją głowę
 siadam przed lustrem
 i uchodzą ze mnie siły
 Charon nasmarował dulki i czeka



Rys. Karolina Lewandowska

DMITRIJ KUZMIENKO, EWGENIJA DOBROWA przekład Krzysztof D. Szatravski

KAŻDY MOŻE ZOSTAĆ KSIĘŻNICZKĄ

Bajki o dziewczynce z pałacu

Co by tu zepsuć?

Na pewnej małej planecie, którą niektórzy potrafią okrążyć choćby na rowerze, jest małe królestwo. Znajduje się ono gdzieś pomiędzy trzydziątym cesarstwem i trzydziątym państwem, a na mapie świata zaznaczone jest tylko kropką. Taką małą, że przeczytać nazwy nie może ani Król, ani pan Etykietek, Główny Radca Dworu — nawet za pomocą lupy.

Mimo wszystko jest to jednak całkiem normalne królestwo. Jest w nim zamek, poddani, gorąca woda, kilka linii trolejbusowych i oczywiście Księżniczka. Ta sama, która kiedyś wpadła na pomysł, by zrobić remont.

Jak się wydaje, był to wtorek, najlepszy dzień dla remontu — zdecydowała Księżniczka. Poza tym, że nie wiedziała, co właściwie remontować. Cztery razy obeszła cały zamek. Ściany trzymały się solidnie. Baszty jaśniały świeżym tynkiem. Blanki były kompletne, co do cegiełki — sąsiedni królowie już dawno ich nie napadali. Na dachu błyszcząły nowe dachówki. Kominy dymiły całą mocą. Zegar nad głównym wejściem wybijał co do minuty. Fosa nigdzie nie przeciekała. Nawet z kuchennego kranu nie kapało.

Co tu robić? — pomyślała Księżniczka i zadzwoniła do warsztatu zajmującego się remontami.

— Dzień dobry — powiedziała. — Co możecie nam wyremontować?

— A gdzie pani mieszka?

— W zamku.

— Zatem niczego u Pani remontować nie trzeba, wszystko w porządku, niedawno sprawdzaliśmy — odpowiedzieli.

Wówczas Księżniczka zrozumiała, że najpierw należy cokolwiek zepsuć i zadzwoniła do warsztatu zajmującego się psuciem.

— Dzień dobry — powiedziała. — Co możecie popsuć?

— A gdzie pani mieszka?

— W zamku.

— Panienko, czy panienka oszalała? Niczego nie będziemy u panienki psuć! Król by nam potem kości porachował! — i w warsztacie odłożyli słuchawkę.

Księżniczka kichnęła i się rozryczała. A żeby nikt nie zobaczył, poszła płakać do najwyższej baszty. I płakała długo, tak długo, aż zatopiła basztę do wysokości piętra. — Potop! — z krzykiem przybiegł Król. Był boso i w podwiniętych pantalonach,

które i tak trochę przemokły. — Coś ty narobiła? Teraz na remont tej baszty będę musiał wydać połowę skarbcza!

— Nie musisz! — uradowała się Księżniczka. — Sama wszystko pobieję i pomaluję! Otarła łzy, założyła fartuch, wzięła z łazienki suszarkę i poszła suszyć ściany. Zaraz wyschną — myślała Księżniczka — potem, gdzie trzeba, wyrównam. I zanim się obejrzy, można będzie zacząć malować.

I nakazała Głównemu Radcy Dworu kupić najlepszy na świecie zestaw olejnych farb i pędzli malarskich.

Dziewięćdziesiąt siedem i pół księżniczek

Zamek królewski był najnowszym modelem, toteż w gabinecie Króla była tajna komnata. Król mógł się tam ukrywać przed natrętnymi interesantami. Albo zajmował się tym, czym zwykle zajmują się w tajnych komnatkach — rysował na ścianach. Jednak nie jakieś tam głupoty.

W czasie wolnym od podstawowych obowiązków Król wyciągał z komórki składaną drabinę, kolorowe ołówki i rysował ogromną mapę świata. I wychodziło mu to pięknie, przepięknie! Granatowe morza i oceany, różnobarwne królestwa, statki piratów i mury obronne. Ale na razie była to tajemnica. Dopiero kiedy zakończy, wezwie wszystkich i...

— Oj, jak fajnie! — za jego plecami rozległy się nagle słowa.

Król był tak zaskoczony, że aż złamał ołówek. I chciał cisnąć nim w przybysza. Tego mu jeszcze trzeba, całą niespodziankę tak zepsuć!

— Wasza Tatusiowa Wysokość, to niewiarygodnie piękne!

Roztłuszczony Król zszedł z drabinki. Księżniczka, jak to się nigdy wcześniej nie zdarzało, stała w oddalonym kącie i przyglądała się mapie.

— Naprawdę ci się podoba? — spytał Król.

— Oczywiście! Masz ta-a-aki talent!

— No już dobrze... — spieszył się Król i prawie już przestał gniewać się na córkę. Księżniczka nie mogła oderwać oczu od mapy. Przypatrywała się pasącym się prawdziwym słoniom i żyrafom, wybuchały wulkany, latały samoloty, a chłopcy pracowali w polu.

— Ter-ra-li-ko-per-si... — spróbowała Księżniczka przeczytać wijącą się nazwę królestwa. Ale jakoś jej się to nie udało.

— To po łacinie — wyjaśnił Król. — Tego języka nie zna nikt poza nadwornym aptekarzem.

Księżniczka zrozumiała, że na świecie jest jeszcze wiele innych królestw.

— I w każdym jest własna księżniczka?

— Nie w każdym. Tylko w połowie — uściślił Król. — A w drugiej połowie — książęta. Aby księżniczki miały za kogo wychodzić za mąż.

— Okazuje się, że nie jestem jedyną księżniczką na świecie?

— Okazuje się, że tak. A ja — nie jestem jedynym królem.

Księżniczka zapagnęła poznać liczbę takich jak ona księżniczek.

— Raz, dwa, trzy, cztery, pięć... — zabrała się za liczenie królestw. — Trzydzieści dwa, trzydzieści trzy... A to już liczyłam, czy nie?

— Nie wiem. Zacznij od początku.

— Raz, dwa, trzy, cztery... czterdzieści siedem, czterdzieści dziewięć.

— Opuściłaś czterdzieści osiem.

Trzeba było zaczynać od nowa. A potem znów i znów. Dopóki Księżniczka nie przeliczyła bezbłędnie wszystkich do końca:

— ...dziewięćdziesiąt osiem, dziewięćdziesiąt dziewięć, sto!

— A dalej?

— A dalej nie umiem.

— No tak, sto — to już nie żarty — zgodził się Król. — A ja właśnie kończę przerwę obiadową. Dalej liczyć nie mogę, muszę pracować.

Księżniczka posmutniała.

— Wezwę ci do pomocy Astrologa. On lubi liczyć najbardziej ze wszystkich.

— Wasza Wysokość! — rozległ się głos Najwyższego Radcy Dworu.

— Tak, tak, już idę — Król śpiesznie narzucił płaszcz i ruszył do pracy. Wkrótce w tajnej komnacie pojawił się Astrolog. O ho, ho, jaką miał wprawę w rachunkach! Wraz z Księżniczką szybko policzyli wszystkie królestwa.

— Sto dziewięćdziesiąt cztery! — zakończyła Księżniczka.

— A jeżeli podzielimy na dwa — będzie dziewięćdziesiąt siedem — dodał Astrolog. — Co znaczy, że na świecie jest jeszcze dziewięćdziesiąt sześć księżniczek — podsumował.

— Tak, jestem dziewięćdziesiątą siódmą! — zgodziła się Księżniczka i, aby nie zapomnieć, zapisała liczbę w notesie.

W tym momencie zadzwonił telefon Astrologa.

— Najnowsze wieści: w pewnym królestwie rycerz zwyciężył smoka — usłyszał w słuchawce. — W nagrodę tamtejszy król podarował mu połowę królestwa i oddał swoją córkę za żonę.

— Liczba królestw powiększyła się o jedno — obwieścił Astrolog Księżniczce.

— Zatem dziewięćdziesiąt siedem i pół — poprawiła Księżniczka liczbę.

Rozległ się jeszcze jeden dzwonek.

— Halo! Pilna wiadomość! Pewien król ożenił się z królowną z sąsiedniego królestwa

i małżonkowie połączyli swoje posiadłości!

— Znów sto dziewięćdziesiąt cztery! — obwieścił Astrolog.

Księżniczka przekreśliła poprawioną liczbę i zapisała nad nią poprzednią.

Telefon dzwonił znów i znów ogłoszono nowe wiadomości. Liczba królestw na Ziemi zmieniała się przez cały czas.

— W ten sposób nigdy mi się nie uda policzyć wszystkich księżniczek... — westchnęła Księżniczka.

— Proszę się nie smucić, Wasza Wysokość! Znam bardzo dobry sposób — odezwał się Astrolog i narysował na ścianie dwie faliste linie: ≈. — Ten znak oznacza w przybliżeniu.

Uradowana Księżniczka dopisała przed dziewięćdziesięcioma siedmioma ≈.

— Hura! Już mnie zmęczyły wszystkie te księżniczki.

— Kiedy będzie gwieździste niebo, proszę do mnie przyjść. Nauczę Waszą Wysokość liczyć nie tylko do stu dziewięćdziesięciu czterech — do tysiąca, do miliona, do stu tysięcy sekstyliionów!

Od tej pory Księżniczka zaczęła chodzić na zajęcia do królewskiego obserwatorium. Opuszczała je tylko wtedy, kiedy niebo było zachmurzone, albo kiedy z powodu świąt Król zarządzał fajerwerki.

— Sześć kwintylionów czterdzieści osiem kwadrylionów sto tysięcy trylionów pięćdziesiąt siedem milionów trzysta osiemdziesiąt dziewięć tysięcy dwieście dwadzieścia jeden — zapisał Astrolog w notesie na ostatnich zajęciach, aby nie zapomnieć, do ilu już nauczyła się liczyć Księżniczka.

Baika o rybnych kanapkach pomidorach

Pewnego pięknego dnia Księżniczce udało się prawidłowo ukształtować w zeszycie wszystkie litery od <<a >> do <<z>>.

— W końcu! Teraz jestem pisarką! — obwieściła. — Umiem pisać!

— Proszę wybaczyć, jeszcze za wcześniej by mówić, że Wasza Wysokość jest pisarką — poprawił Główny Radca Dworu.

— A to dlaczego? — oburzyła się Księżniczka. — Nauczyłam się już pisać wszystkie litery.

A to znaczy, że jestem pisarką.

— Pisarze to tacy ludzie, którzy nie tylko umieją pisać, ale jeszcze wymyślają historie.

— O czym?

— Na przykład kryminały albo o piratach. Albo choćby o nas wszystkich.

Księżniczka się zadumała. Uważano ją za dziewczynkę wykształconą. Piratów nie lubiła. A na czytanie kryminałów było jej jeszcze za wcześniej.

— Wobec tego napiszę o rybnych kanapkach — zdecydowała Księżniczka, wzięła ołówek i zabrała się za pisanie tytułu: — Bai-ka o ryb-nych ka-nap-kach.

— Dlaczego o kanapkach? — spytał Główny Radca Dworu. Nigdy nie okazywał zdziwienia.

Nawet kiedy czuł, że się poci pod peruką.

— Dlatego, że rybne kanapki to odrażające paskudztwo.

— Wasza Wysokość! U nas robią je z konserw rybnych najwyższej jakości.

— Patrzeć nie mogę na te konserwy! Na wszystkie te szprotki-nagniotki! Leszcze-kleszcze!

Dorsze-gorsze! Byczki-bryczki!

— Jak to? Nawet w pomidorach?!

— W pomidorach też. Nienawidzę ich znosić!

— Prawidłowo mówi się: z całego serca ich nie znoszę — poprawił Główny Radca Dworu. — A jednak, śmiem zauważyć, że nie należy o tym pisać.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że za kanapkami z rybą przepada nasz główny wydawca. Nie wydrukuje nawet jednego złego słowa o rybnych kanapkach, a co dopiero całą książkę.

Księżniczka nie wiedziała, czy potrzebna jest cała książka, czy wystarczy jej połowa. Ale głównego wydawcę dobrze знаła. Był to wredny staruszek z tabakierką zamiast nosa i ogromnymi krzaczastymi wąsami. Księżniczka nikomu się nie przyznawała, jak bardzo bała się tych paskudnych wąsów. Przez cały czas wydawało się jej, że kiedyś im się znudzi tak wisieć pod tabakierką i zakradną się do jej sypialni, przedostaną się pod łóżko i będą tam się jeżyć i szurać. I z tego powodu zdecydowała, że nie będzie irytować głównego wydawcy. A zwłaszcza jego wąsów.

— W takim razie napiszę o ogórkach — powiedziała Księżniczka.

— A to dlaczego? — rozległ się okrzyk Króla.

Przez cały ten czas stał w korytarzu i podłuchiwał przez dziurkę od klucza. Król, oczywiście, wiedział, że nieładnie tak robić. Ale, po pierwsze, przyszedł, by zaprosić Księżniczkę na obiad i tak jakoś wyszło. Po drugie, jako ojciec miał prawo wiedzieć, czy prawidłowo Główny Radca Dworu kształci jego córkę. I w końcu — jest Królem, a to znaczy, że może wszystko.

— A to dlaczego? — powtórzył Król jeszcze głośniej.

— O, Wasza Wysokość... — skłonił się Radca.

— O, Wasza Tatusiowoatość... — podchwyciła Księżniczka.

— A ty co, nie znasz moich dekretów: dozwolone jest pisanie wyłącznie o pomidorach! — Król był rozgniewany nie na żarty. — I co to w ogóle za podstęp — zdecydowała się zostać pisarką! A kto ciebie poplamioną atramentem za mąż weźmie?!

— Królewska rodzino, gdzie jesteście? — dał się słyszeć głos Królowej. — Obiad stygnie! I nagle wszyscy sobie przypomnieli, że zgłodnieli.

Tego dnia był u nich dzień pomidorowy. Podobnie, zresztą, jak pozostałe sześć dni tygodnia. Wszystkie dania obiadowe zostały przygotowane z najsmaczniejszych pomidorów — był to ukochany owoc Królowej. Do pałacowej kuchni przyjeżdżali najlepsi kucharze i od świtu wyczarowywali pomidorowe specjały.

Przy stole Król jeszcze raz kategorycznie zakazał Księżniczce zostać pisarką. Jednak, kiedy podano pomidorowe ragout, Król zakazał już nie tak kategorycznie.

Księżniczka nawet nie zdążyła się rozplakać.

Po ragout podano faszerowane pomidory.

A następnie pomidorowy mus.

I tu Księżniczka oświadczyła, że jeśli zabronią jej zostać pisarką, to wyjdzie za mąż za smoka.

Król pomyślał: zamknąć by ją w wieży na trzy lata! I to bez pomidorów!

W tym momencie podano deser — pomidory z bitą śmietaną.

No dobrze, zdecydował Król, do błazna z tym. Już prawie się zgodził — niech pisze, ale wyłącznie o pomidorach. Lecz głośno powiedzieć o tym nie zdążył, gdyż do pucharów rozlano pomidorowy kisiel.

— Ech — westchnęła Księżniczka, kiedy skończyła — nieźle bytoby, gdybym została synoptykiem.

— A to dlaczego? — zdziwili się Król i Królowa.

— Będę informować o pogodzie w telewizji. Co dnia nowe uczesanie. Albo mogłabym zostać treserką w cyrku: machniesz pałeczką — wszyscy chodzą na tylnych łapach.

A Główny Radca Dworu z niezmaczonym spokojem zauważył:

— A ja marzyłem kiedyś, że zostanę listonoszem. Ale w naszej rodzinie wszyscy byli radcami. I poradzono mi, bym dostał się do pracy u Króla. To była dobra rada — gdzie jeszcze mógłbym spróbować takiego pysznego pomidorowego kisielu?

JEWGIGENIA DOBROWA, moskiewska pisarka i poetka oraz DMITRU KUZMIENKO, autor ukraiński, poznali się w czasie pobytu w Polsce w ramach programu Ministerstwa Kultury „Gaude Polonia”. Wówczas postanowili wspólnie napisać książkę dla dzieci. Zbiór 19 opowieści „Każdy może zostać księżniczką” ukazał się w Rosji i na Ukrainie w 2015 roku.



Rys. Karolina Lewandowska

DARIUSZ GÓRKIEWICZ

Powiedz to głośno (fragment powieści)

Mówili na mnie Izi, bo łatwo robiło się ze mną interesy. Byłem facetem, który w więzieniu lub psychiatryku załatwił ci wszystko, czego potrzebowałeś, poza bronią i narkotykami. Prawdę mówiąc, tutaj, w szpitalu, handlowałem po prostu ruskimi fajkami. Miałem najlepsze ceny, dlatego przychodzili do mnie, to cała tajemnica. W więzieniu miałem znacznie więcej do zaoferowania, ale moja historia dotyczy szpitala. Wszystko zaczęło się, gdy dobiegałem już sześćdziesiątki. To miejsce znałem od 30 lat, oddział siódmy, odwykowy, mój ulubiony.

Byłem recydywistą i złodziejem i na tym oddziale czułem się jak u siebie. Kiedy chciałem nabrać sił, gdy nie miałem gdzie się podziac albo gdy sąd zdecydował o przymusowej terapii, trafiałem do szpitala. Po tylu latach spędzonych na naszej siódemce, znałem tutaj prawie wszystkich: lekarzy, siostry, większość pacjentów, przeżyłem kilku ordynatorów. Przez ten czas napatrzyłem się na każdy rodzaj człowieka, każdy odchyl, lęk i manię wielkości, ale też na różne odmiany romantyków, nawiedzonych czy zwykłych hochsztaplerów. Mój świat był czarno-biały, oswojony i przewidywalny. Wiedzałem, jak się tutaj poruszać. A potrzebną rozrywkę dostarczała mi telewizja oraz opowieści tych, którzy przeżyli coś ciekawego na wolności. I pewnego dnia poznałem Dzieciaka, tak go nazywałem, miał na imię Karol.

Kiedy się spotkaliśmy, ja byłem twardzielem, ale w wieku już takim, że wiedziałem dwie rzeczy na pewno: wkrótce nadejdzie mój koniec i że dla takich jak ja jest potępienie. Tym razem znalazłem się tutaj z nakazu sądowego. Nazywano nas „sądówką”, nie wymagano od nas wielkich postępów, mieliśmy tylko uczestniczyć w zajęciach i być grzeczni. Miałem wybór – więzienie albo odwyk.

Dzieciaka przywieźli na wózku inwalidzkim do piekła na detoks. Piekło to takie miejsce, gdzie jak przestajesz pić i idziesz do psychiatryka, to najpierw cię zamykają i sprawdzają, jak mocno świrujesz, czy nie trzeba aby zapiąć cię w pasy. I na ile jesteś niebezpieczny dla innych, ale przede wszystkim dla siebie samego. Siedzisz pod kluczem pomiędzy żywymi trupami, ludzie wrzeszczą, widzą różne rzeczy albo gapią się w sufit i liczą godziny, kiedy dostaną pozwolenie, by pod strażą przejść na oddział dla tych, co nie są groźni. Kiedy jesteś na piekle, czas wlece się niemiłosiernie, minuty płyną niczym dni. A ty, cokolwiek miałeś w sobie, alkohol czy jakieś inne gówno, po kilkunastu godzinach, gdy ono przestaje działać, zaczynasz wyć. Wiesz, że jeden zastrzyk może uśmierzyć ból, ale żebyś go dostał, alkomat musi wskazać zero. Dwadzieścia cztery godziny niewyobrażalnych tortur. Delirium w rozkwicie, a obok ciebie cała sala podobnych skazańców. Najbardziej przynębiające miejsce jakie widziałem. I pierwsze, które w psychiatryku poznawałeś i miałeś zapamiętać.

Wprowadzali cię tam z obstawą sanitariuszy. Wjeżdżałeś na wózku albo szedłeś długim, wąskim korytarzem, mijając rząd wejść, w żadnym nie było drzwi, prowadziły one do sal, które na pierwszy rzut oka wyglądały jak szpitalne. Dopiero później, jak już przydzielili ci łóżko, orientowałeś się, że w porównaniu do normalnego szpitala wyładowałeś w jakimś syfie. Ściany zaniedbane z zakratowanymi oknami i tak brudnymi, że ledwo coś przez nie widziałeś. Nie wiem, ile razy w roku je myli, ale na pewno nieczęsto. Łóżka metalowe z odłączającą farbą. Kulili się na nich, spali i jęczeli ludzie, pośród nich wyrastał las kropłówek. Ludzkie wraki i nieliczni, którzy całkiem dobrze wyglądali, jeśli można tak powiedzieć, że ktoś tam w ogóle wyglądał jak człowiek. „Dobrze wyglądali” dotyczyło wszystkich tych, którzy już kontaktowali i można się z nimi było porozumieć. Ale zanim trafieś do sali, czekało cię jeszcze przesłuchanie. Nikogo nie obchodziło, że jedno już przeszedłeś na izbę przyjęć. Jakby ci mówili: widzisz, gnoju, do czego się doprowadziłeś.

Gdy już pokonałeś ten korytarz, na jego końcu było pomieszczenie lekarskie, żadnych drzwi, czułeś na sobie wzrok innych, wiedziałeś, że każdy, kto stoi na własnych nogach, wyległ w tej chwili na korytarz i patrzył na ciebie. Stawałeś w tej swojej za krótkiej czy za długiej piżamie, którą przydzielali na oko, na izbę przyjęć, za plecami czekał sanitariusz. Jeśli stałeś o własnych siłach, kazali ci usiąść, obserwowali każdy twój ruch. Sprawdzili ci ciśnienie, temperaturę, oczywiście jeśli byłeś w stanie przetrwać te badania. Pytali o rok, dokładną datę, o nazwisko i imię. A ty patrzyłeś na nich i ledwo przypominałeś sobie odpowiedzi na te pytania. Oddziałowa wpisywała do zeszytu wszystko, co powiedziałeś i co zrobiłeś, każdą twoją drgawkę, pocenie się, wszystko zapisywała. Teraz decydował się twój los. Patrzyłeś na prawą stronę, gdzie wisiła tablica z nazwiskami, zwykle około pięćdziesięciu, kobiety i mężczyźni. Nazwiska zapisane na kartkach niebieskich i żółtych. Kolory nie oddzialały płci, ale tych, co stąd wyjdą, jak wydobrzeją i tych, co zostają tu czasem i przez kilka miesięcy, oni trafiali na kartki żółte. Moje nazwisko zawsze było na niebieskiej. Co decydowało o przynależności? Drobiazg. Jeśli znalazłeś się tutaj tylko przez wódę, kartka niebieska, wypuszczali cię po kilku dniach obserwacji na oddział ogólny, tam miałeś już prawa człowieka, mogłeś się nawet wypisać ze szpitala. Ale jeśli przyznałeś się choćby do palenia trawy, trafiałeś na żółtą – psychoaktywny, niebezpieczny. Wychodziłeś dopiero wtedy, gdy ordynator pozwolił opuścić szpital. Ludzie tam siedzieli miesiącami, bez przepustki, bez możliwości spaceru. Tygodnie w zamknięciu na kilku metrach kwadratowych. To oni byli niebezpieczni i to oni byli odpowiedzialni za to, że piekło stało się piekłem, po prostu im odbijało.

Na piekło dostarczałem fajki. Palenie było legalne, nikogo nie interesowało, że miałem je z przemytu i na nich zarabiałem. Umiałem dogadać się z kim trzeba. Sanitariusz miał z tego swoją działkę. Ale jeśli ja dostarczałem szluga, ktoś inny szmuglował resztę. Jeśli miałeś kasę, na odwyku mogłeś kupić wszystko: papierosy, wódę, prochy, trawę, psychotropy. Nie można było tam dostać tylko dwóch rzeczy: noża i sznura. Tym nie handlowano. Nóż oznaczałby chłastanie, jakkolwiek lina wisielca. Pomyślisz, że w kiblu przy sflucze i tak będzie sznurek? Nie ma. Ciągniesz za listewkę. Na całym piekle nie ma telefonów, ładowarek, kabli, golarek, noży, dosłownie niczego, czym mógłbyś sobie albo komuś innemu zrobić krzywdę.

Ci na żółtych kartkach, psychoaktywni, łądowni na piekle dopiero od kilku lat, kiedyś dla nich był oddzielny oddział, ale połączono nas, aby zaoszczędzić. Ktoś doszedł do wniosku, że pijak i narkoman to ten sam gatunek zwierzęcia. Może i tak, ale po odstawieniu byliśmy skrajnie różni. Pijak leżał i trząsł się. Czasem, zwłaszcza nocą, całe piekło skrzypiało od tego trzęsienia. Kiedy taki miał zwidy i próbował biegać, to zapinano go w pasy i po kłopotcie, ale przeważnie był rozdygotany i słaby. A psychoaktywni często wpadali w szal, wariowali po odstawieniu dragów. Potrafił się taki, zniecierpliwiony, rzucić na ciebie. Jednak najbardziej uciążliwymi byli skurwiele, którzy doszli już do siebie i po cichu kombinowali, jakby ci zrobić coś złego. Tu nie inaczej. Rządził się tam taki jeden o głupiej ksywie Rambo. Znałem go, siedzieliśmy kiedyś razem pod celą. Był typem wyjątkowo paskudnym. Piekło uważało za swój prywatny teren. Lubił straszyć nowych, najbardziej takich, co trafili tutaj po raz pierwszy. Jednego poszturchał, drugiego okradł, trzeciego podduśił w palarni. I miał równie przykrych kolegów.

A Dzieciak? Miał szczęście, że większość czasu na piekle przespał, po prostu nie kontaktował. Na oddziale mówili na niego Rumi, Rumi Filozof. Ja na niego mówiłem Dzieciak, bo uważałem go za gówniarza. Jego też czepiał się Rambo, ale nie zdążył mu nic zrobić. Dlaczego się nim zainteresowałem? Ciekawość. Mówili, że kiedy przyszedł do szpitala, miał ponad sześć promili we krwi. Od razu powieźli go na ratunkowy i dopiero później do nas trafił. Jeszcze wtedy, w jakimś delirium, chciał uciekać ze szpitala. Ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Zbyt był wycieńczony, dlatego posadzili go na wózku. Wcześniej wódka utrzymywała go przy życiu. Bez niej musieli podłączyć go pod kropłówki i kiedy po kilku dniach trafił do naszego pokoju, doktor powiedział, że „wjeżdża” gość, który spał cztery dni.

— Jak to cztery dni?

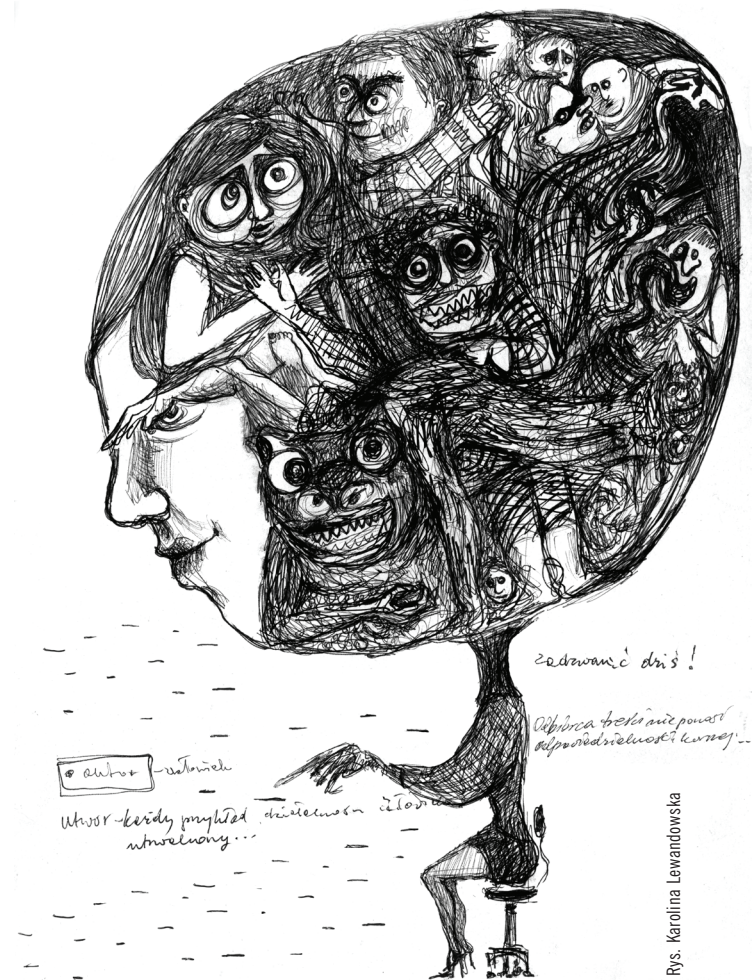
— To nieszczęście piło codziennie przez ostatnie dwa lata od rana do wieczora. W nocy, aby spać, w dzień, aby chodzić. Jest jak gąbka umoczona w gorzale. Nie wiadomo, czy brał coś jeszcze. Dwa lata non stop. Po czymś takim musiał odpocząć, chłopczy.

Pił od czwartego roku życia. Facet pił i ćpał od 35 lat, ma lat 39 i nagle chce przestać. W życiu czegoś takiego nie słyszałem. Dlaczego mówią na niego Rumi? Jak przyszedł do szpitala, to nie miał nawet szczoteczki do zębów, ale miał książkę

perskiego poety, tego Rumiego. Kto czyta takie rzeczy? Według lekarzy powinien nie żyć.

Zapamiętałem dokładnie, jak zjawił się w naszym pokoju. Wyglądał jak nieszczęście. Stał przy łóżku i ledwo powiedział nam cześć, już padł na postanie. Zagrzebał się w koc i zasnął. Kiedy przyszła pora posiłku, lekarz przyniósł mu sznurówki do butów. Patrzyłem, jak się z nimi męczył, jak ręce latały mu mocno i nie miał w ogóle sił, żeby je przepchnąć przez szlufki, pomogłem mu. Pomyślałem, że tak zarosnięty hippis nie będzie miał lekko na oddziale, bo czasy długowłosych narkomanów minęły. A on wyglądał jak starszy brat Jezusa. Wiedzałem, że będą się go czepiać.

DARIUSZ GÓRKIEWICZ — ultramaratończyk, współzałożyciel olsztyńskiego artzina „Papierówka. Patchwork”.



RENATA ZIMNICKA-PRBUCKA

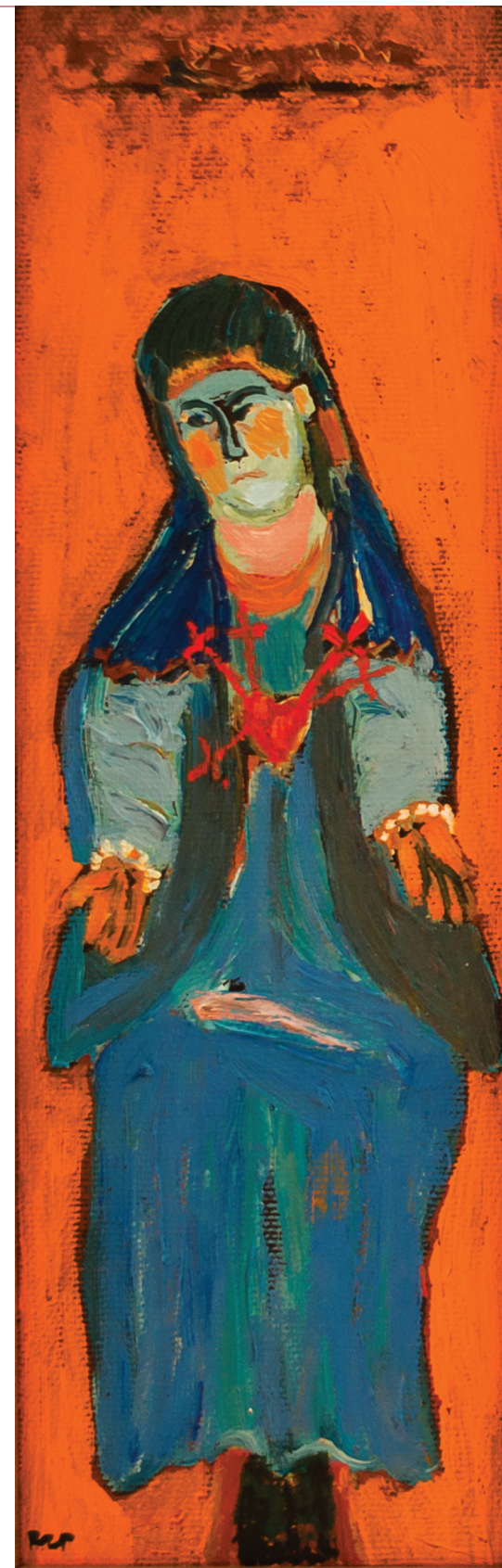
Mater



Matka, 2018, olej na płótnie, 18 x 13 cm



Matka z synem, 2018, olej na płótnie, 10 x 30 cm



Matka Wileńska, 2017-18, olej na płótnie, 10 x 30 cm

ZDZISŁAWA ŁUKASZEWSKA red. IWONA BOLIŃSKA-WALENDZIK

Dobry duch Zatorza

Od zawsze jestem związana emocjonalnie z Zatorzem, chociaż nie z adresem, w dzieciństwie mieszkałam na ul. Sarnowskiego. Wychowałam się nad samymi torami, z mojego okna widać było Koszary Dragonów. Potem przenieśliśmy się na ul. Kościuszki, w pobliżu dworca PKP. Zatorze i tu, i tu było tuż obok. Całą swoją młodość, lata panieńskie, spędzałam tam ze swoją paczką: na prywatkach, spotkaniach, spacerach, piknikach. Moim marzeniem było, aby tam mieszkać.

W 1982 roku przeprowadziłam się w końcu na Zatorze, konkretnie na Al. Wojska Polskiego, a tu, w budynku na ul. Kraszewskiego, mieszkam od 1998 roku. Nasza kamienica pochodzi z początku XX w., dokładnie z lat 1911-1912, jest to więc ponad stuletni budynek. Czterdzieści lat temu został on wewnątrz zmodernizowany. Klatki pozostawiono w starym układzie, zmienił się natomiast rozkład w mieszkaniach. Tam, gdzie pierwotnie były kuchnie, są teraz pokoje. Wcześniej mieszkania miały tylko małe toalety, dopiero po modernizacji pionów kanalizacyjnych uzyskano miejsce i uzupełniono lokale o pełną łazienkę. Wiem o tym od koleżanki mojej córki, której babcia mieszkała w takim mieszkaniu bez łazienki. Wcześniej też z kuchni wychodziło się na balkon, dziś z pokoju. W naszej kamienicy są raczej małe mieszkania, moje ma 40,5 m². Ulica Kraszewskiego jest króciutka, zakończona monumentalną ścianą kościoła franciszkanów. Kiedy stanie się na rogu, od ul. Okrzei, i patrzy się w głąb uliczki, to ma ona swój niezaprzeczalny urok zabudowy z minionej epoki. Z początku, gdy tu zamieszkałam, słyszałam dzwony z kościoła, nawet mi ich dźwięk przeszkadzał, zwłaszcza o szóstej rano, w tej chwili nie zwracam już na nie uwagi. Z mojego okna widzę dachy kamienic, z drugiej strony podwórko. Sporo mieszkań obejrzałam na Zatorzu, zanim dokonałam wyboru, ale nie było innej opcji, tylko ta dzielnica. Jest to jedyne miejsce, w którym się widzę. To jest mój świat.

Ważny jest przede wszystkim dla mnie klimat tej dzielnicy. Zatorze jest najstarszą, taką „w pełni” zachowaną, częścią miasta, gros zabudowy pochodzi z końca XIX i początku XX w. Zauważyłam, że mieszkańcy Zatorza utożsamiają się z tą dzielnicą, jest to dla nich, tak jak dla mnie, taka mała ojczyzna. Mam wrażenie, że większość pozostałych dzielnic ich mieszkańcy traktują jako takie sypialnie, miejsce do mieszkania. Natomiast u nas jest tak, nie wspomnę już o „Zatorzakach” z krwi i kości, że młodzi ludzie, którzy kupują czy dostają mieszkanie po dziadkach, mówią, że nie wyobrażają sobie innego miejsca w Olsztynie do życia. Znam mnóstwo ludzi tu z Zatorza, którzy, co prawda nie zawsze, znają się z imienia i nazwiska, ale gdy się spotykamy, to każdy sobie mówi „dzień dobry”, albo zatrzymuje się i chwilę

porozmawia. W takich starych kamienicach wszyscy sąsiedzi się znają, są życzliwi dla siebie, a Ci, którzy do nas przyjeżdżają, zachwycają się elementami elewacji, zaglądają we wszystkie zakątki, wchłaniają klimat Zatorza – starych budynków, uliczek, podwórek w kwartałach, tak jak moje za oknem. Zieleń – Park Jakubowo, obok las, to także ma znaczenie. Nowe osiedla nie mają może jeszcze tego klimatu, są tylko adresem do zamieszkania.

Działa tutaj wiele organizacji, które prowadzą tu swoją działalność. Jak się spotykam z przewodniczącymi rad innych osiedli, których znam, to pytają – jak wy to robicie, że tyle się na Zatorzu dzieje.

Kiedy tutaj zamieszkałam, znajomi namawiali mnie, żebym weszła do Rady Osiedla, (Zatorze jest podzielone na cztery osiedla: Wojska Polskiego, Zatorze, Podleśna i Zielona Góra). Zostałam Przewodniczącą Rady Osiedla Wojska Polskiego. Pierwszą walką, którą podjęłam, była chęć wyprowadzenia tirów właśnie z Al. Wojska Polskiego, bo od tego ciężkiego transportu pękają ściany domów, a i w dzień, i w nocy jest bardzo głośno, nie można wcale otwierać okien. Nie udało nam się wyeliminować całkowicie ciężkich pojazdów, ale pośrednim efektem naszych działań jest powstająca obwodnica miasta, co prawda południowego odcinka, ale może w przyszłości jest i szansa na północny. Kolejnym bardzo ważnym tematem dla mnie był Park Jakubowo, który pamiętałam jeszcze z lat pięćdziesiątych, ze swojego dzieciństwa. Wtedy jeździliśmy z rodzicami tramwajem „dwójką” do parku na majówki, letnie pikniki. Rozkładało się kocyk, dorośli we własnym gronie bawili się, a my, dzieciarnia, mieliśmy używanie w tym parku. Pamiętam także wieżę spadochronową, na którą, jako podlotki, wchodziliśmy, a nasi koledzy to nawet z niej skakali (tak jak dziś na bungee). Ja nigdy nie odważyłam się skoczyć, chociaż wszystkie warunki bezpieczeństwa były zapewnione, był tam nawet opiekun, który pomagał chętnym do skakania.

Park Jakubowo wyglądał wtedy inaczej, był zadbane, potem ulegał stopniowej degradacji. W 2012 roku obchodziliśmy okrągłe stu pięćdziesięciolecie założenia parku. Jako rada osiedla postanowiłam zorganizować w nim Festyn Rodzinny, aby zaakcentować rocznicę. Organizując tę imprezę, przede wszystkim zależało mi, żeby pokazać, przypomnieć, że w Olsztynie jest taki 150-letni park, który ma bardzo ciekawą historię. Tu odbywała się w 1910 roku Wielka Wystawa Przemysłowa, po której pozostałością jest chociażby fontanna za pomnikiem dłuta Bolesława Marschalla (z 1972 roku). Ludzie napływowi, którzy mieszkają w innych dzielnicach, nawet nie wiedzą,

że takie miejsce istnieje. Ponad 1000 osób przewinęło się podczas I Festynu, a ja zobaczyłam, że jest potrzeba robienia takiej imprezy. Założyłam Stowarzyszenie „Nasze Jakubowo” i od 2013 roku działamy już pod jego szyldem, organizując co roku kolejne festyny. Chcemy, żeby ludzie korzystali z parku, mieli tam rozrywkę, a nasze dzieciaki z Zatorza mogły zaprezentować się na scenie i pokazać swoje talenty. Od samego początku sprzymierzeńców mamy w Przedszkolu nr 13 i Szkole Podstawowej nr 11. Dzieci śpiewają i tańczą na Festynie, a gdy mnie spotyka któryś z maluchów, to doskonale pamięta swoje występy sprzed lat i opowiada o nich. Tak może rośnie kolejne pokolenie sprzymierzeńców tego miejsca.

Już jako Stowarzyszenie „Nasze Jakubowo” napisaliśmy w 2013 roku projekt do pierwszego OBO na rewitalizację parku. Dzięki głosom mieszkańców wygraliśmy. Projekt otrzymał 500.000 zł i w 2014 roku za te pieniądze została zmodernizowana ścieżka wokół Stawu Browarnego oraz opracowano projekt budowlany rewitalizacji całego Parku Jakubowo. W kolejnych OBO pisałam projekty na plac zabaw w Jakubowie i na scenę przy jeziorze Mumieli. Jeszcze dużo jest pracy w parku – ponad stuletnia fontanna wymaga renowacji, drobna architektura parkowa również. Wierzę, że działania oddolne mieszkańców, jeżeli systematycznie i z uporem dążą oni do celu, przynoszą efekty takie jak u nas.

Pokazaliśmy jak ważną dla nas sprawą jest przywrócenie dawnej świetności parku, więc dalszą jego rewitalizację zainteresowały się także nasze władze z gminy Olsztyn i pozyskały środki unijne na remont całego parku, który do końca maja 2018 roku ma być zakończony.

Co przed nami, gdy już doprowadzimy prace w parku do końca?

Kolejne działania – np. podjęta współpraca z młodymi mieszkańcami Zatorza: Michałem Kupiszem czy z Anią Brodą. Mieszkańcy utożsamiają się z tym miejscem, chcą pokazać piękno tego zakątka i integrować się jeszcze bardziej. Pomysłów jest cała masa. Do tegorocznego OBO złożyliśmy propozycję zadania osiedlowego pt. „Drugie życie Parku Jakubowo – kultura w Parku”.

Wydałiśmy jako Stowarzyszenie m.in. monografię „Zatorze – magiczna dzielnica Olsztyna”. Od Łukasza Pepola dostałam zdjęcia do tej książki, w rewanżu zrobiliśmy kalendarz ścienny z jego fotografiami, też dotyczący Zatorza. I tak jedno działanie pociąga następne.

Nad Zatorzem chyba fruwa dobry duszek, który czuwa nad nami i wpływa na ludzi pozytywnie, sprawia, że automatycznie utożsamiają się z tym miejscem i chcą je współtworzyć. Jestem jednym z nich.

Fot. Iwona Bolińska-Walendzik

OLGA OSTROWSKA

Stowarzyszenie Kobiet „Miej Marzenia”

Lidzbark Warmiński ma niebywałe szczęście do wyjątkowych osobowości. Gdy spojrzemy na historię tego miasta, zauważymy, że w zasadzie nie ma wieku, ba, półwiecza, w którym nie pojawiłby się ktoś, kto trwale zapisał się w dziejach Perły Warmii. Z reguły byli to mężczyźni. Nawet w bardzo nieodległej przeszłości. Aż do momentu, kiedy w pewnym zielonym domu, około 10 lat temu, przy pewnej lidzbarskiej ulicy zebrało się ponad dziesięć Pań mających odwagę, determinację i...

Zdefiniowanie lidzbarskiego Stowarzyszenia Kobiet „Miej Marzenia” wydaje się sprawą prostą i oczywistą. To po prostu grupa Kobiet, które mają marzenia. Tyle teorii. A jak to wygląda w praktyce? Tu należałoby przytoczyć „historię nowicjuszek”.

Gdy pierwszy raz zetknęłam się z działaniami Stowarzyszenia i jego Członkiniami, miałam wrażenie, że są oderwane od rzeczywistości. Wydawały mi się zupełnie nierealne, niepasujące do znanych mi okoliczności. Te Kobiety potrafiły wyjść z butów matek Polek, aby spełniać swoje pragnienia. Potrafiły znaleźć czas dla siebie i swoich pasji. Z pewnością pomogły im w tym niekończące się pokłady entuzjazmu i energii, które dodatkowo i tak napędza Prezessa Stowarzyszenia – Anna Puszcz. To Jej inicjatywy w dużej mierze nie pozwalają się nudzić Członkiniom, a jest ich w tej chwili 26. Różne osobowości, różne charaktery, a jednak potrafią działać wspólnie i wspierać się w tych działaniach. Każda z nich przyszła do Stowarzyszenia ze swoimi marzeniami – teatr, śpiew, rajdy piesze, podróże, sztuka, rękodzieło. I, o dziwo, marzenia każdej z nich są spełniane.

Jednak Stowarzyszenie nie działa tylko dla siebie i własnej satysfakcji. Z jego istnienia korzystają również mieszkańcy miasta i regionu. Organizowane wydarzenia, takie jak koncerty, spektakle, wystawy, warsztaty, przyciągają setki widzów, wśród których

każdy jest niezwykle przyjaźnie nastawiony do tych działań. Są tacy, którzy czekają na konkretne cykliczne wydarzenia, jak chociażby koncerty „Koleđujmy póki czas”, które stały się już lidzbarską tradycją. Każdego roku, od dziewięciu lat, chór złożony z mieszkanki i mieszkańców miasta, daje koncerty we wszystkich lidzbarskich kościołach. Cyklicznie – latem – odbywają się również warsztaty tańca „Wyginaj śmiało ciało”. Biorą w nim udział dzieci, młodzież, kobiety i mężczyźni. Niezależnie od wieku dosłownie każdy może wybrać coś dla siebie z bogatej oferty tanecznej. Sześć dni radości, ruchu i twórczej pracy kończy się pokazem dzieci i wieczornymi zajęciami practise dla dorosłych. Dzięki tym warsztatom mogłam przenieść się do słonecznej Hiszpanii i zatańczyć pełne temperamentu flamenco czy za sprawą burleski poczuć klimat roztańczonego Paryża. Stowarzyszenie zapewnia solidną porcję ruchu podczas pieszych rajdów „Marsz! Przez Cztery Pory Roku”. W śniegu, w słońcu, z wiatrem i pod wiatr, przy budzącej się do życia zieleni i w wirach jesiennych liści – maszerują Kobiety szlakami pięknej Warmii. Wśród łąk i lasów rozbrzmiewają rozmowy i śmiech, a po chwili widać kolorowy korowód. Każdy marsz ma swoją tematykę. Maszerowały już Góralki, Cyganki, Damy w kapeluszach i z perłami, Królowe Śniegu, Żeglarki, a nawet... kwiaty! Inwencja twórcza jest niczym nieograniczona.

Rajdy odbywają się cztery razy w roku. Jest jednak wydarzenie, które jest tylko raz, ale czeka na nie z niecierpliwością, przez cały rok, ponad 100 Pań. To karnawałowa zABBAwa Kobiet. Niektórym trudno uwierzyć, że 100, 150 lub nawet 180 kobiet może się wspaniale bawić we własnym towarzystwie. Ale gwarantuję, że nie ma drugiej takiej

imprezy, kiedy parkiet jest pełen przez całą noc. Każdy bal ma oczywiście swój wyjątkowy temat: „Wesele Polskie”, „Kropki i paski”, „Bal Wenecki” (zdaniem większości Pań najpiękniejszy – takiej rewii mody dawno w Lidzbarku Warmińskim nie było), „Gala Oscarowa”, „Ladies in Red”, „Lata 20...”. Na wszystkich Panie wyglądały wspaniale, szynkownie, światowo. Od ostatniej zABBAwy minęło dopiero kilka miesięcy, a już wszystkie czekamy na kolejny styczeń.

Jak już wspomniałam, Stowarzyszenie Kobiet „Miej Marzenia” nie działa wyłącznie dla siebie, ale wiele wnosi również do życia lokalnej lidzbarskiej społeczności. Projekty często mają charakter edukacyjny, społeczny, historyczny, co wpływa na utrwalenie świadomości regionalnej i poszerzenie wiedzy o regionie.

Na pierwszym miejscu należy wymienić działanie „Lidzbark Warmiński – Dwa Oblicza – od przeszłości do teraźniejszości”. Postanowiłyśmy obrazy lidzbarskich ulic, kawiarni, hoteli utrwalone na starych zdjęciach i pocztówkach przenieść na fotografie wykonane współcześnie. Wielu budynków już nie ma bądź są przebudowane, ale pozwoliły mieszkańcom Lidzbarka spojrzeć na swoje miasto z zupełnie innej perspektywy i, co najważniejsze, współtworzyć jego historię. W projekt było zaangażowanych ponad 400 osób – od modeli, przez wolontariuszy, po fotografa. Sesje były stylizowane, więc dodatkowym wyzwaniem było aranżowanie strojów i rekwizytów do tych sesji. Owocem kilkumiesięcznej pracy była zarówno wystawa, jak i zestawy pocztówek i kalendarze. Wystawę pokazaliśmy w Wertle, niemieckim mieście partnerskim Lidzbarka Warmińskiego i gminie partnerskiej Emsland.

Niezwykle ciekawym przedsięwzięciem był projekt „Ślub w Oranżerii”. Nawiązywał on do czasów, kiedy to w Pałacu Letnim Biskupów Warmińskich (obecnie Miejska Biblioteka Pedagogiczna – Oranżeria Kultury) mieścił się Urząd Stanu Cywilnego i udzielano w tej przepięknej scenarii ślubów. Stowarzyszenie zmobilizowało lidzbarczan do tego, aby odnaleźli u siebie fotografie z uroczystości ślubnych w Oranżerii. Następnie pary, które miały przyjemność składać przysięgę małżeńską w tym miejscu, zostały zaproszone do

sesji zdjęciowych w Oranżerii i jej dzisiejszym otoczeniu. Przy okazji tego projektu cieszyliśmy się wystawą fotografii z przeszłości i tych współczesnych, stylizowanych na ślubne monidła, jak również koncertem pieśni o miłości w wykonaniu wokalnego zespołu stowarzyszeniowego „Kobiet Chór w tonacji Dur”.

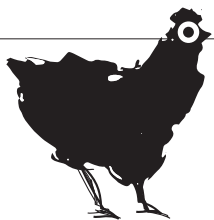
Przybliżanie historii Lidzbarka Warmińskiego stało się jednym z ulubionych motywów projektowych Stowarzyszenia. Niedawno zakończony projekt „Lidzbark Warmiński 50-80 – mapa miejsc – mapa wydarzeń” pokazał mieszkańcom, jak, na przestrzeni tylko 30 lat, zmieniło się ich miasto. Jak wyglądało niedługo po wojnie, jak było odbudowywane, na nowo zasiedlane i jakie ważne wydarzenia miały w tych latach miejsce. Ponownie sami mieszkańcy stali się nieocenioną skarbnicą materiału fotograficznego. Utrwalając swoje rodzinne uroczystości, niedzielne spacerki, czyny społeczne, wykopki, zachowywali dla potomnych historię swojej małej ojczyzny. A Kobietom ze Stowarzyszenia udało się te najważniejsze momenty zebrać i opowiedzieć w taki sposób, że stały się wyjątkową opowieścią o życiu zwykłych ludzi. Ten projekt, podobnie jak inne, zakończył się wystawą i kalendarzem, który zdobi i moje biurko. Przerzucając miesiące, widzę dobrze znane mi miejsca i ludzi, którzy, dzięki temu projektowi nie są mi już obcy i anonimowi. Stają się częścią mojej lokalnej historii. To potwierdza, że Stowarzyszenie obrało dobre kierunki działań.

A co daje swoim Członkiniom? Z pewnością świadomość, jak wiele są warte i jak łatwo wspólnie przejść drogę od marzenia do jego spełnienia. Pozwala wygospodarować czas dla siebie na samorealizację, daje możliwości rozwoju i zdobywania nowych umiejętności. Lidzbarkowi brakowałoby koloru, gdyby nie działało w nim takie Stowarzyszenie. Ono jest jak ciepłe promienie słońca pojawiające się na tle pochmurnego nieba.

PS Są jeszcze inne działania Stowarzyszenia, np. konkurs plastyczny „Damą być”, konkurs grantowy „Charytatywnie – Aktywnie”, wyjazdy studyjne, „Teatr jak Marzenie”. O nich też wam kiedyś opowiemy, bo wciąż piszemy własną historię.

Fot. z archiwum Stowarzyszenia





EWA KOZŁOWSKA

Kultura przy lampach gazowo-naftowych

W 1918 roku kobiety wywalczyły prawa wyborcze. Powojenne oleckie aktywistki dopiero przychodziły na świat, bądź ich jeszcze na tym świecie nie było, jednak po wojnie z bagażem doświadczeń i oczekiwań, a także zapewne świadomości, przyjechały jako pionierki (słowo wówczas modne) na nowe tereny. Obecność niektórych z nich była silnie połączona z zaangażowaniem i emancypacją, wciągnęły się także w wir życia politycznego, z którym późniejszy rozrachunek nie przychodził nazbyt łatwo.

Kobiety przyjechały do małego miasteczka z różnych stron świata. Pojawiły się nagle w tej nowej przestrzeni. Miasteczko wciąż było jeszcze trojga nazw Marggrabowa-Treuburg-Olecko, co przez ponad rok wprowadzało dysonans i rozgardiasz, nie tylko w administracji państwowej, lecz także w ludzkim życiu, poza wyczuwaną podskórnie skrywaną obawą przed tymczasowością. Kobiety zaczęły odgruzowywać miasto, organizować życie, zmagać się z rzeczywistością, z którą, jak jeszcze dziś zaświadczały niektóre, mężczyźni nie zawsze potrafili sobie poradzić. O szabrze kobiet z tamtej epoki raczej próżno szukać informacji. Takie pionierki w nie do końca nazwanej przestrzeni, z mitem „Ziem Odzyskanych” w tle i umacniającym się systemem. Najaktywniejsze kobiety stały się działaczkami Społeczno-Obywatelskiej Ligii Kobiet, wprowadziły szereg zmian, miały znaczny wpływ na rozwój kulturalny i moralny mieszkańców, nawet jeśli wciskano je (i podejmowane przez nie działania) uparcie w wygodne dla innych ramy. Jak wyglądało ich życie, udział w tworzeniu początków nowej rzeczywistości w małym miasteczku na krańcach Mazur, czy oprócz zapału świadome były przemian, swojej roli? Liczne wycinki z gazet dają jedynie propagandowy obraz oleckich aktywistek. Szerzej przedstawiają ówczesną sytuację pozostawione, nigdy nie wydane wspomnienia. Jedna z ówczesnych oleckich działaczek tak wspominała swoje życie na przełomie lat 1945-50:

Zostaliśmy skierowani do Olecka – nazywanego Treuburg. Ileż to było szukania na mapie tego Treuburga, miało to być gdzieś koło Łyczku. Dotarcie do miejsca pracy nie było tak łatwe. Pociągi jeszcze nie kursowały, a transporty wojskowe niechętnie chciały cywilów zabierać. Trzeba było częściowo piechotą, częściowo wozem docierać na wskazane miejsce pracy. Dopiero w Giżycku dowiedzieliśmy się, gdzie leży Treuburg. Było to 17 kwietnia 1945 roku, od samego rana padał śnieg z deszczem, zmarznęci i przemęczeni zajechaliśmy do miejsca przeznaczenia. Trzeba było w różny sposób starać się o żywność, były jeszcze działania wojenne, jako kobieta byłam narażona na różne przykrości, ale nie tylko siebie, ale też i inne kobiety,

młodszych od siebie, obroniłam. Z przepustką władz radzieckich i polskich po dwutygodniowej udręce podróży z Olsztyna dobrnęliśmy do miejsca pracy. Inaczej wyobrażaliśmy sobie naszą nową siedzibę. Miasto w 75% zniszczone, wyszabrowane, bezludne. Przede wszystkim zaczęliśmy od uporządkowania i zabezpieczenia obiektów stacji, krycia dachu dachówką, zabezpieczenia domów przed dalszym szabrownictwem. Dworzec kolejowy był spalony, biuro i poczekalnię stacji musieliśmy zorganizować w tym, co zastaliśmy, to jest w chlewach i szopach poniemieckich. Moja praca zawodowa w tym czasie polegała na organizowaniu kancelarii i wyplatach dla kolejarzy. Pociągi w tym czasie nie kursowały z powodu wysadzonych mostów, bardzo często chodziłam pieszo sama z korespondencją z Olecka do Elku odległego 30 km i z powrotem. Do naszej pracy pionierskiej w Olecku poza kolejową należało między innymi zorganizowanie Spółdzielni Rolniczo-Spożywczej w październiku 1945 roku. Postanowiliśmy przystąpić także do pomocy przy uruchomieniu wodociągów.

Aby stworzyć jakieś życie kulturalne, zorganizowałam pierwszą zabawę taneczną i teatralny zespół amatorski. Światła elektrycznego nie było, wszystko to odbywało się przy lampach gazowo-naftowych i karbidowych latarkach. Odnaczona zostałam honorową Odnazką Ligii Kobiet i bardzo cenię wycinki z gazet z moją fotografią. Należałam do organizacji konspiracyjnej w młodych latach, miałam też ideę wpojną przez mego ojca, pamiętajcie ja umrę, ale przyjdzie dzień, że Polska będzie inna, że chłop i robotnik odzyska wolność i nie będzie musiał służyć się panom, że szkoły będą otwarte dla wszystkich, że życie będzie zupełnie inne, lecz musicie do tego dołożyć wszyscy dużo wkładu pracy. Gdy znalazłam się jako pionierka na Ziemiach Odzyskanych w Olsztynie, między innymi podpisami złożyłam i swój podpis na wierność Partii Robotniczej, i ułożonym planem ruszyłam do wyznaczonego mi miasta Olecko. Działałam bez legitymacji partyjnej, choć byłam duszą oddana partii, i choć nieraz słyszałam: to komunistka, strzeżcie się jej – absolutnie to mi nie przeszkadzało.¹

Życie aktywistek w mazurskim miasteczku podlegało także ogólnopolskim regułom. W latach 40. i 50. XX wieku Liga Kobiet przeszła jako organizacja przez etap ideologizacji. Kobiety zostały wmanewrowane w przemiany ustrojowe, niektóre po prostu wierzyły w lepszy świat, angażowały się politycznie, nie negowały nowej władzy. W nowym systemie pokładały szczerze wiele nadziei na przejaw równości społecznej, liczyły na równy dostęp do edukacji oraz funkcji publicznych. Chciały być

aktywne i w latach 40-tych było to możliwe. Już w październiku 1946 roku Miejska Rada Narodowa w Olecku informowała, iż Społeczno-Obywatelska Liga Kobiet otrzymała mandat i jej przedstawicielka została przyjęta w poczet członków rady. I nie była to jedyna kobieta w miejskiej radzie. Oprócz aktywnej działalności w radzie miejskiej kobiety brały udział w rozwoju rolnictwa, bo skoro region został określony jako rolniczy to trzeba było coś z tym zrobić. W roku 1949 w grupach hodowców trzody chlewnej zrzeszono 446 kobiet, a w grupach plantatorów 132, zespołów ośrodków warzywnych zorganizowano 5, z liczbą członkiń 112:

Dział kobiecy Zw. Sam. Chłopska prowadzi Inspektorka Kobięca, na terenie powiatu dotychczas jest zorganizowanych 6 Gminnych Rad Kobięcych i 56 Kół Gospodyń Wiejskich z liczbą członkiń 874. Przy Gminnych Radach Kobięcych w okresie sprawozdawczym [1949 rok] odbyło się 36 konferencji kobiecych, w wyniku czego uzyskano kilka działaczek wiejskich, w związku z tym przeprowadzono propagandę na szczeblu gromady w dostawie jaj i mleka z Mleczarni. Zorganizowano 80 prenumeratorek „Kobieta Wiejska”. We wszystkich Kółach Gospodyń Wiejskich S.Ch. przeprowadzono pogadanki w celu uczęszczania na szkolenie analfabetów, wyjaśniono cel szkolenia.²

Aktywność kobiet budziła respekt. Kobiety zaangażowane w działalność Ligii Kobiet w powiecie oleckim wywodziły się z różnorodnych środowisk. Wśród nich były prawniczki, gospodynie domowe, urzędniczki i robotnice. Kobiety, które posiadały wykształcenie, jak i te, które dopiero je nabywały w powojennym świecie. Praca kobiet zawierała się m.in. w organizowaniu pomocy dla biednych i potrzebujących, pracownikom w PGR-ach demonstrowały techniki upraw, organizowały seanse filmowe, prowadziły uświadamiające spotkania przedmażeńskie. Koło Gospodyń Wiejskich współzawodniczyło w uprawie ogródków warzywnych. Przeprowadzano kursy żywienia rodziny, kroju i szycia. Organizowano dziecięce letnie na wsiach, dodatkowo kobiety angażowały się do pomocy przy kopaniu ziemniaków w majątkach państwowych, bez względu na wykształcenie. Wszelka aktywność była na miarę epoki, niemniej nie można im dziś odmówić torowania własnej drogi oraz silnego wpływu na lokalny świat.

Przede wszystkim jednak wysiłki tych kobiet dotyczyły podejmowania wszelkich prób krzewienia kultury oddolnej, także płynących z wewnętrznej potrzeby. Na terenie Olecka w latach 1945-50 prężnie działały m.in. dwa amatorskie zespoły teatralne prowadzone przez kobiety, a świetlica Ligi Kobiet tętniła życiem (łącznie z odczytami i koncertami). W późniejszych dekadach kultura i działalność aktywistek przyjmowały różnorodne postacie, i ten okres początkowy/powojenny wydaje się najciekawszym i najlepiej charakteryzującym kobiecy zapał. Dziś w Olecku jeszcze niektóre starsze

kobiety opowiadają o Lidze, porównując przeszłość do teraźniejszości i mówiąc: „A dzisiaj? Co się teraz dzieje!?” bo nawet jeśli w tworzącej się wówczas rzeczywistości zaczęło coś szwankować, a lata 50. przyniosły zmiany, to i tak te kobiety uważają, że świadomiej mogły przeżyć swoje życie niż młode dziewczyny aktualnie. Lampy, które oświetlały pierwsze przejawy kultury w małym mieście na krańcu Mazur, jeszcze do niedawna wisały na stacji oleckiego dworca PKP. Obecnie dworzec przestał w zasadzie spełniać swoją funkcję, a po lampach nie ma śladu. Nie wiadomo, co się z nimi stało – szkoda, gdyż zaświadczały o pierwszych wysiłkach na rzecz kultury, o pracy kobiet. Kobiety, które w 1945 roku przyjechały do Olecka i były częścią Ligii Kobiet, powoli gasną.

¹ Wspomnienia członkini Ligii Kobiet.

² Roczne sprawozdanie Zarządu Oddziału Powiatowego Zw. Sam. Chłop. w Olecku z dnia 27 grudnia 1949 roku, Archiwum Państwowe w Elku.



URSZULA MACIĄG rozmawia z uczennicami i nauczycielem Liceum Ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza w Olsztynie

Feminizm?

Kim waszym zdaniem jest feministka?

Julia_1: Tak naprawdę to nie wiemy, jaka jest definicja feminizmu, jak powinna działać feministka i co określa, czy jesteśmy tymi feministkami, czy nimi nie jesteśmy.

Sandra: Feministka to kobieta, która zna swoją wartość i dąży do tego, aby było równouprawnienie, bo jednak dalej według wielu osób rola kobiet ogranicza się do tego, że powinnyśmy jedynie pracować w domu i dbać o swój wygląd. Widziałam na Starym Mieście dziewczyny, które nazywały siebie damami i namawiały inne kobiety do tego samego, a dama w ich znaczeniu to kobieta, która zajmuje się domem i swoim mężem. Totalnie mnie to rozniewiżyło, a jednocześnie było mi przykro, bo my, kobiety, jesteśmy piękne, mądre i silne. Damą według mnie jest kobieta, która rozwija się i ma wpływ na kształt współczesnego świata. Możemy być damami, jeśli będziemy stanowić o sobie samych.

Julia: Moim zdaniem feministkom nie do końca chodzi tylko i wyłącznie o równość praw kobiet, raczej o równość praw wszystkich ludzi.

O co współczesna feministka walczy? Czym się zajmuje?

Sandra: Dużo kobiet mówi, że są feministkami, a w rzeczywistości tak naprawdę nimi nie są, bo więcej mówią niż robią. A prawdziwa feministka działa w różnych organizacjach, chodzi na spotkania, protesty, wydarzenia, pomaga innym kobietom i walczy o to, żeby było nam lepiej. Część osób, chce się tylko podpisać pod hasłami feministycznymi, bo to jest modne. Klikają na Facebooku „wezmę udział w wydarzeniu” i na tym kończy się ich aktywność, nawet nie przychodzą na to wydarzenie.

Weronika: Feministka jest czynna w tym, co robi i zachęca do tego inne kobiety, zaraża je swoim entuzjazmem i potrafi przekazać, wytłumaczyć najważniejsze postulaty, bo wie, o co walczy.

Julia_1: To również kwestia pozbycia się wcześniejszych stereotypów kulturowych i przyzwyczajęń w traktowaniu kobiet.

Czy macie świadomość, co zawdzięczacie feministkom?

Sonia: Prawa wyborcze i prawo wyboru.

Sandra: Myślę, że warto pamiętać o sufrażystkach, które zapoczątkowały silny ruch feministyczny.

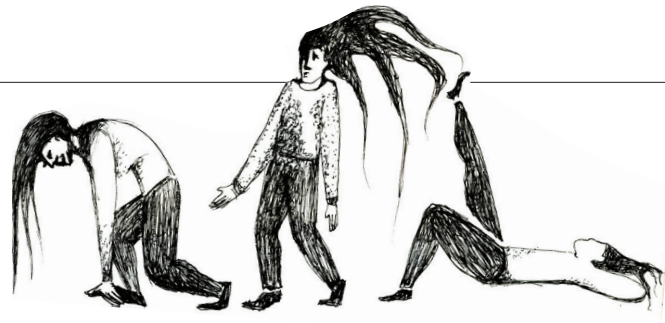
Weronika: Dokładnie, to od nich się wszystko zaczęło. Mamy prawa wyborcze, możemy swobodnie głosować, wyrównano szanse w dostępie do szkolnictwa wyższego, ogólnie kobiety pojawiły się w wielu obszarach życia, dotąd niedostępnych dla nich.

Czy w takim razie feminizm jest nadal potrzebny?

Julia: Jasne, że tak. Każda forma propagowania równości jest dobra.

Julia_1: Wydaje mi się, że w porównaniu do przeszłości poziom praw jest obecnie bardzo wyrównany. Nie powinniśmy cały czas użalać się nad sobą, jak nam kiedyś było źle, ponieważ obecnie, przynajmniej w większości, mamy podobne prawa.

Julia: Należy walczyć o prawa wszystkich kobiet, nie tylko w danym kraju. Wszystkie jesteśmy



równe, więc sens ma globalny feminizm.

Sandra: Wydaje mi się, że zawsze może być lepiej i nigdy dość walki o prawa dla człowieka.

Czy znacie jakieś feministki?

Sandra: Oczywiście, że tak. Moja współlokatorka Julia jest feministką i fenomenalnym wzorem do tego, by ją naśladować. Niepokoi nas, że mężczyźni widzą w nas tylko obiekty seksualne, bo tak często się dzieje, niestety to się nie zmienia. Nie możemy ubierać się tak, jak chcemy. Zaraz jesteśmy krytykowane, że same zachęcamy do tego, żeby patrzeć na nas jak na ten obiekt właśnie. Uważam, że każda kobieta ma w sobie feministkę, bo każda z nas chciałaby za siebie decydować i chcemy, żeby było nam lepiej.

Weronika: Nie śledzimy świata gwiazd. Jednak uważamy, że sławne osoby, mogą nagłośnić pewne sprawy i pomóc w ich szybszym rozwoju, jak na przykład akcja #metoo. Bardzo często zdarza się, że artyści są autorytetami, więc ich poparcie jest niezwykle cenne.

Czy podziwiacie jakąś kobietę, inspirujecie się nią?

Sonia: Podziwiam Gertrudę Bell. Niesamowita kobieta, alpinistka, archeolog, podróżniczka, miała duży wpływ na kształtowanie się krajów arabskich. Znała chyba sześć języków, rozmawiała po arabsku, czytała książki po hebrajsku.

Ania: Niestety nie pamiętam jak nazywa się ta kobieta, ale wywarła na mnie duży wpływ pani psycholog, coach, która sama założyła firmę i kontynuuje badania psychologiczne. Odniosła sukces od zera, osiągnęła to własną pracą. Takie kobiety mi imponują.

Sandra: Na pewno jest to moja mama, która w moim wieku musiała wziąć odpowiedzialność za sześcioro swojego rodzeństwa i zaopiekować się nimi. Dla mnie jest to niewyobrażalne – to jest prawdziwie silna kobieta. Bardzo ją za to szanuję.

Czy widzicie jakieś zagrożenie dla równouprawnienia? Czy spotkałyście się z krzywdzącą dla was jako kobiet sytuacją?

Julia: Może jakieś konkretnej sytuacji nie przytoczę, ale myślę, że można walczyć z konserwatywnym i stereotypowym myśleniem, które często wypływa ze starszego pokolenia. Jednak coraz częściej mówi się o tolerancji i równouprawnieniu, dzięki temu środowisko jest znacznie bardziej przyjazne.

Julia_1: Ja akurat tego nie doświadczyłam, ale słyszałam od moich koleżanek, że w niektórych sytuacjach szkolnych chłopcy są faworyzowani. Podobno łatwiej jest się dostać na studia artystyczne chłopakom, bo jest ich mniej, więc mają mniejszą konkurencję.

Czy szum medialny, jaki tworzy się wokół feministek, utrudnia odbiór ich działalności i głoszonych przez nie postulatów?

Julia: Przez krzyki, kłótnie i uproszczony przekaz mediów ludzie zaczynają myśleć w trochę



odwrotny sposób. Nie widzą tego, że feministki chcą zrównać prawa mężczyzn i kobiet, myślą, że kobiety chcą wnieść swoje prawa ponad prawa mężczyzn. Ta wizja jest oczywiście wypaczona przez media.

Weronika: Staram się nie opierać swojej wiedzy na tym, co usłyszę w telewizji. Zazwyczaj każda stacja podaje takie dane, które odpowiadają jej profilowi, więc nie można wierzyć w każde ich słowo.

Sandra: W to wszystko włączają się też różne opcje polityczne i próbują skorzystać na tym rozgłosie. Dodatkowo uproszczone lub zniekształcone przez media komunikaty pogłębiają bardzo silnie zakorzenione i krzywdzące stereotypy. Często słyszy się, że feministki są grube, brzydkie i głupie. Nie możemy się z tym zgodzić, jest wiele feministek, które mogą być wzorem kobiecości i nie przeszkadza im to w walce o prawa kobiet.

A co z różnicami pokoleniowymi? Zauważacie konflikt młodych ze starszymi? Nowoczesności z tradycją?

Julia: To też zależy od osoby. Ale rzeczywiście w starszych pokoleniach podejście jest bardziej konserwatywne, wynika to pewnie z przyzwyczajenia do tradycji. Na pewno nie ułatwia im to otwarcia się na nowe doświadczenia. Młodzi postrzegają to zupełnie inaczej, od początku w tym siedzą, więc rozumieją, co się dzieje.

Paweł (nauczyciel): Jeżeli mogę coś dodać, to wydaje mi się, że duży wpływ na kształtowanie się postaw miał postęp technologiczny. Kiedyś, za czasów moich dziadków, faktycznie różne sprzęty i maszyny wymagały przede wszystkim dużej siły fizycznej, co w pewien sposób uniemożliwiało uczestniczenie kobiet w obowiązkach zarezerwowanych dla mężczyzn. Nawet kierowanie samochodem było naprawdę ciężkie.

Dziewczyny: Bez przesady! Kobiety potrafią jeździć samochodami.

Paweł (nauczyciel): No tak, ale kiedyś samochody były inaczej skonstruowane i naprawdę trzeba było wykazać się krępkością, żeby obsłużyć taką maszynę. Po wojnie, w latach 50., w czasie przemian technologicznych, ale i społecznych, kobiety musiały przejąć wiele męskich obowiązków. W tym czasie powstał plakat z hasłem „Kobiety na traktory” nawołujący do zatrudniania kobiet w tym męskim zawodzie traktorzysty. Prymitywne metody wytwarzania maszyn ustąpiły nowoczesnym sposobom i tym samym otworzyły kobietom drogę do równouprawnienia w karierze zawodowej.

Julia_1: Nie możemy usprawiedliwiać wykluczenia kobiet z pewnych zawodów przez to, jak jesteśmy zbudowane.

Paweł (nauczyciel): Nie, ale musimy też przyznać, że postęp cywilizacyjny i techniczne nowinki ułatwiają życie i pozwalają na równy lub prawie równy podział obowiązków.

Czy widzicie rodzący się ruch feministyczny w liceum? Czy wasza grupa społeczna czuje taką potrzebę?

Julia_1: Wydaje mi się, że w szkole równość uczniów jest zachowana tak, jak powinno być.

Nie zauważam, aby ktoś traktował nas, dziewczyny, inaczej.

Sandra: Oczywiście, ja zauważam taką potrzebę, aby walczyć o swoje prawa. Wciąż jest dużo do zrobienia.

A jak reagują na feminizm wasi koledzy?

Sandra: Są bardzo negatywnie do tego nastawieni, ich poglądy zazwyczaj oparte są na stereotypach. Wyśmiewają feministki, pogłębiają te stereotypy. Może dlatego, że im jest jednak łatwiej, nie potrafią wczuć się w naszą sytuację. Nie mieli nigdy takich problemów i nie traktują naszej walki na poważnie. Może jak dorosną, to zauważą, że faktycznie spotykają nas takie sytuacje.

Czy uważacie siebie za feministki?

Weronika: Nigdy nie myślałam o sobie, że jestem feministką, ale uważam, że idea feminizmu jest poprawna. Chciałabym starać się i walczyć o to, aby nasze prawa się poprawiły. Żeby rola kobiet miała większe znaczenie, chociażby w polityce.

Czy wiecie, jaki rok obchodzimy w 2018 roku?

Sandra: Nie, nie kojarzę.

Weronika: Hm... nie wiem.

Julia_2: Dziewczyny! Setna rocznica uzyskania praw wyborczych przez kobiety w Polsce!



OLGA ŻMIJEWSKA

Czy popiera Pani ubezwłasnowolnienie kobiet?

Ostatnimi czasy czuję dyskomfort, kiedy ktoś pyta mnie o to, czy jestem feministką. Nie czuję się dobrze z tym pytaniem, pomimo że przecież popieram postulaty feminizmu i żyję zgodnie z nimi. Jestem członkinią Stowarzyszenia Kongres Kobiet, jestem zapraszana do rozmów na tematy feministyczne, piszę i publikuję teksty z tego zakresu, a jednak coś mi tu zgrzyta, coś nie pasuje. Pytana o to, czy jestem feministką, czuję się mniej więcej tak, jakby ktoś pytał mnie, czy jestem kobietą, a nawet gorzej – czy jestem człowiekiem.

Olśniło mnie, kiedy koleżanka skomentowała moją ocenę okładki pierwszego numeru polskiego „Vogue’a” stwierdzeniem, że „feministki mają podobne zdanie na ten temat”.

Wyobraziłam sobie tę sytuację – grono kobiet, tak zwanych feministek, siedzi gdzieś w kawiarni i wygłasza swoje spójne zdanie na temat okładki „Vogue’a”. W tym kontekście określenie „feministki” przywodziło mi na myśl jakąś niewielką grupę kobiet. Jakieś gremium.

Ten obraz sprawił, że dostrzegłam nie tylko absurd powyższego komentarza, lecz także absurd pytania o feminizm – czy to mój, czy to innych osób. Według Wielkiego Słownika Wyrazów Obcych PWN feminizm to ruch na rzecz prawnego i społecznego równouprawnienia kobiet; także ideologia leżąca u podstaw tego ruchu, a feminist(k) a to zwolennik lub propagator feminizmu.

Halo, halo! To przecież nie może być małe grono! To nie jest jakieś gremium w kawiarence. Co do zasady, są to wszystkie kobiety w kraju płynnej nowoczesności,

do jakich to krajów zalicza się Polska. Pragnę wierzyć, że to także znakomita większość mężczyzn. Zastanówmy się – która z Polek wołałaby nie mieć prawa wyborczego, pytać rodziców, czy wolno jej wyjść na randkę, mimo że ma 30 lat, czy też prosić męża o zgodę na rozpoczęcie studiów, podjęcie pracy zarobkowej, prowadzenie samochodu albo o środki finansowe na zakup podpasek? Czy w Polsce dużo jest takich kobiet, które nie chcą prawnego ani społecznego równouprawnienia i wołałyby być ubezwłasnowolnione?

Ja nie znam ani jednej.

A mimo wszystko to kobiety żyjące według takiego wzorca, a więc niemalże wszystkie kobiety w demokratycznym państwie prawa, które przecież opiera się na postulacie społecznego i prawnego równouprawnienia, są szufladkowane i metkowane mianem „feministek”. To zupełnie nielogiczne. To tak, jakbyśmy pytali mężczyznę o to, czy popiera on prawo mężczyzn do swobodnego poruszania się po kraju, nazywając go – dajmy na to – meninistą. Po co pytać o coś tak oczywistego?

Język odzwierciedla zasady panujące w danym społeczeństwie i wskazuje chociażby na hierarchię wartości oraz na ważność, jaką nadano danemu zjawisku. Uporczywie nazywając i wyodrębniając zjawisko powszechne, stanowiące normę społeczną, niejako sugerujemy, że uważamy ten stan za wyjątkowy. Przecież nikt z nas nie mówi „Witamy w programie pana x – człowieka.”

Kobieta niezgadająca się z postulatami feminizmu raczej nie byłaby gościnią programu telewizyjnego, nie byłaby posłanką ani profesorką. Dlatego pytanie, czy jest ona feministką, uważam za błędne zarówno merytorycznie, jak i logicznie. Uważam je także za zbędne i niepotrzebnie utrwalające nieświadome przekonanie o wyjątkowości postulatu prawnego i społecznego równouprawnienia kobiet. To anachronizm godny czasów sufrażystek.

W przestrzeni publicznej powinniśmy raczej explicite nazywać te kobiety, które zrzekają się zdobyć naszych prabab i nie są zwolenniczkami równouprawnienia. Wskazujemy na wyjątek, a nie na regułę. Tym bardziej, że w dzisiejszej Polsce takie wyjątki byłyby niezwykle spektakularne!

Proponuję, abyśmy zapomnieli o łatce feministki i z feminizmu uczynili tryb domniemany. Kiedy, jeśli nie teraz, w stulecie prawa wyborczego kobiet? Jeśli już ma paść jakieś pytanie, to niech to będzie pytanie o egzotykę, a nie o oczywistość: „Czy popiera pani ubezwłasnowolnienie kobiet?” Niech – wzorem zasady domniemania niewinności w prawie – w języku zapanuje domniemanie postulatu równouprawnienia. Przecież żadna z nas nie zrezygnowałaby już z wolności.



JUSTYNA ARTYM

Męczenie Heideggera

Nielegalna zajęczyca mężczy Heideggera i innych filozofów Tamary Bołdak-Janowskiej to niezwykła rozprawa filozoficzna. Niezwykła, ponieważ niespieszny, dygresyjny dialog z dawnymi myślicielami staje się punktem wyjścia do trafnej i głębokiej diagnozy współczesności.

Koniec roku 2017 przyniósł nam aż trzy nowe książki Tamary Bołdak-Janowskiej: *Bycie i Lu!*, pięć poruszających surrealistycznych poematów o współczesnym byciu, *Elegancję serca*, osobno wydany jeden z poematów z tego cyklu z ilustracjami autorki oraz rozprawę *Nielegalna zajęczyca mężczy Heideggera i innych filozofów*. Wszystkie trzy zostały wydane w małych, niezależnych wydawnictwach.

Dlaczego warto sięgnąć po tę ostatnią pozycję? Choćby dlatego, że łączy dwie cechy charakterystyczne dla pisarstwa Bołdak-Janowskiej: umiłowanie filozofii oraz przenikliwy ogląd procesów dziejących się tu i teraz. *Męczenie Heideggera i innych filozofów* staje się okazją do skomentowania naszej epoki i jej przerażających zjawisk. Antysemityzm, nazizm, kierownik-inseminator literatury, który wyznacza jedynie słuszne trendy, szaleństwo bycia w głównym nurcie, powielanie cudzych myśli, dzielenie na nadludzi i podludzi, dualizm: my-oni, nasza grupa-ich grupa, narastająca wrogość dwóch grup wobec siebie, wartościowanie przez wykluczanie i odrzucanie, plaga „zerkania” – splotu sposobu przyswajania wiedzy, budowanie poglądów, ba, całych ruchów społecznych wokół zniekształconej, wyrwanej z kontekstu myśli, uproszczonej, przykrojonej na miarę ludu i „upuszczonej w lud”, czasy płycizny – gadanina, pisanina, a dziś jeszcze „informacjonina” – skróty, feйки, sensacje, internetowe śmieci, które rozleniwiają mózg, zamiast go rozwijać, dające złudzenie wiedzy, orientowania się, bycia na bieżąco. Tematy wręcz publicystyczne, uderzająco aktualne, ponieważ Tamara Bołdak-Janowska chce przywracać filozofię życiu. Dzięki temu, zamiast chłodnej analizy cudzych teorii, otrzymujemy zaangażowane odczytanie punktujące największe bolączki XXI wieku. Zamiast biernego odbioru, mamy aktywną rozmowę z myślą, czyli żywym człowiekiem, który ją zrodził, zadawanie pytań, wskazywanie na paralele między epokami – podobne odkrycia, ale i podobne błędy czy zagrożenia.

Osobiste spojrzenie autorki widać już w formie podejmowanego przez nią dialogu – zwraca się do filozofów po imieniu, ponadto silnie zaznacza swoją podmiotowość, mówi sobą, to właśnie ona osobiście myśli, dostrzega, pyta. Taki zabieg nie jest przypadkowy. W pewien sposób wynika z potrzeby zaznaczenia w filozofii żeńskiej obecności.

Autorka podejmuje wysiłek stworzenia własnego – żeńskiego – języka w mówieniu

o filozofii. Często zwraca uwagę na nieobecność kobiet w literaturze, kulturze, ich pomijanie i przemilczanie przez mężczyzn. To jeden z powodów, dla których ona, kobieta, czuje się „nielegalna” w świecie filozofów deprecjonujących żeńskość. Czyta dzieło, w którym czuje się u siebie, aż nagle natrafia na dictum poniżające jej płę. Zatem – jest tu nielegalnie, nie ma prawa tu być. Bezprawnie podgląda mężczyzn piszących dla mężczyzn. Czy tak ma zostać? „Ile wieków może trwać badanie wyłącznie męskiej duszy, męskiego umysłu?” Nielegalna zajęczyca mówi dość i walczy o „moją moją” – podmiotowość siebie-kobiety w filozofii.

Tytułowa „nielegalność” przewija się zresztą w rozprawie wielokrotnie. To bycie poza systemem, poza jedynie słuszną grupą, poza głównym nurtem. To także okno na wolność, bo przecież *ludzka myśl, wolnomyślicielstwo, kultura, dzieło – to się bierze z katakumb, a nie z <<legalności>>*. Nielegalność pozwala pozostać sceptycznym wobec szaleństwa współczesności i ujednolicania, ograniczeń fałszu poprawności politycznej, zmyru powielania cudzych myśli, mówienia swoją grupą.

„Zajęczyca” przypomina, że filozofia to przede wszystkim zadawanie pytań. Jakże bardzo jest nam to potrzebne dzisiaj, w czasach łatwych odpowiedzi, wysypu samozwańczych przewodników handlujących poradami, w czasach tendencji do wpasowywania się w gotowe pakiety poglądów, które ktoś inny powiązał nam w grupy. Znamienne, że książka kończy się zmuszającymi do myślenia pytaniami. Teraz nasza kolej. I my także zostajemy zaproszeni do dialogu z myślą, do porzucenia wygodnych uproszczeń i schematów, według których działa nasz umysł. Gorąco zachęcam do tej intelektualnej przygody.



Rys. Karolina Lewandowska



Rys. Karolina Lewandowska

KATARZYNA GUZEWICZ

Masłowska wielką pisarką jest

Pisarka – to brzmi dumnie. Nie mam tu na myśli literatury „kobiecej” z lawendą, długimi sukniami i romansami w tle, którą kiedyś trochę wyśmiała Bernadetta Darska. Kogo więc wybrać? Sylwia Kubryńska pisze złośliwie i z humorem. Sylwia Chutnik ma kolorowe włosy i zna się na kulturze. Olga Tokarczuk napisała *Prowadź swój pług przez kości umarłych*, książkę, która wzruszyła mnie do łez. Agnieszka Graff to matka walcząca o prawa kobiet. Jest jeszcze Katarzyna Bonda, która nosi śliczne sukienki, ma pomalowane na czerwono usta i pali papierosa w czasie pracy. Piszących kobiet, które podziwiam, jest więcej. Jednak padło na Dorotę Masłowską. Mam do niej słabość jeszcze z dawnych czasów. Napisała debiutancką *Wojnę polsko-ruską pod flagą biało-czerwoną* podczas matury. Już samo to wprawia w zdumienie. Zazwyczaj młodzież wtedy na nic nie ma czasu, a zwłaszcza na pisanie powieści, która ma 206 stron! Potem był *Paw królowej* (czytaliśmy tę lekturę na kwietniowym spotkaniu młodzieżowego DKK) i *Kochanie, zabiłam nasze koty*. Masłowska wszystkiemu się dziwi (jak dla mnie nieco ironicznie), obserwuje i pisze. Ale jak pisze! Wali między oczy, bez znieczulenia. Jej styl ma tylu fanów, co wrogów, którzy widzą w jej twórczości jedynie słowotok pozbawiony treści. *Więcej niż możesz zjeść* to zbiór felietonów. Na okładce kobieta (myślę, że to Dorota Masłowska), którą narysował Maciej Sieńczyk, stąpająca po połówce wielkiego pomidora. W środku nie ma przepisów kulinarnych, jest za to diagnoza świata. Mężczyzn też: *Nie, nie, zdaje się, że nie jest to prastowiański zwyczaj z dziada pradziada, by mężczyźni trójkami zbierali się w kuchniach i wespół skrobali rzepę*. Jest też o kinderbalach, o obrażonym jedzeniu, o Japonii i podróżach w czasie (uwaga na latające klapki Kubota!). Autorka nie stoi na ściankach, nie bywa na bankietach i nie prezentuje światu swoich zdjęć z wakacji. Nagrała płytę, pisze książki i felietony. Zamiast wydymać usta w dziubek, woli się z tego śmiać. A tę książkę się dobrze czyta. Nie jestem zaskoczona, bo wszystko, co wychodzi spod pióra Masłowskiej, nieodmiennie mnie zachwyca.

URSZULA WITKOWSKA

0 pisarce

W oczach ludzi, w ich rytmicznym kroku, w dreptaniu, ciężkich stąpaniach, w zgiełku i wrzawie, w powozach i samochodach, w autobusach, ciężarówkach, w ludziach-reklamach kiwających się i powłóczących nogami, w ulicznych orkiestrach, w katarynkach, w tryumfie, w hałasie, w dziwnym wysokim śpiewie samolotu tam w górze było wszystko to, co kochała: życie, Londyn. Ta chwila w czerwcu.

(Virginia Woolf, *Pani Dalloway*)

To co prawda o pani Dalloway, a jednak, gdybym miała zgadywać, jaka była Virginia Woolf, właśnie tymi słowami bym ją scharakteryzowała. Wyobrażam sobie, że mogłaby stać w stońcu na progu swego domu, mieć przymknięte od blasku oczy, a tym wyraźniej słyszeć, co wokół i czuć zachwyt codziennością, tym, że jest ta chwila w czerwcu, w lipcu, w sierpniu...

Jak czujną obserwatorką musiała być, ile zapamiętywać, w jaki sposób widzieć to, co ją otaczało, by z tysięcy drobiazgów, codzienności stwarzać światy mieniące się od barw, wręcz roziskrzone, ożywające na kartach książek i wychodzące daleko poza nie. Każde jej dzieło to kolejna próba opisanego życia, w jego wielkości i ograniczeniach, konwenansach, zachwycie, pięknie i smutku, próba podejmowana na tak wiele różnych sposobów. Jej teksty, zarówno literackie, jak i zapiski w dzienniku czy listy, skrzą się ujmującym humorem i zadziornością.

Jeśli sądzić po nich, zdawała się wręcz głodna życia!

Pokój Jakuba, Noc i dzień, Do latarni morskiej, Panią Dalloway czy opowiadania i eseje... Wystarczy po nie sięgnąć i przeczytać chociaż kilka stron (najlepiej na głos), by wyraźnie zdać sobie sprawę, jak wrażliwa musiała być na codzienność, by tworzyć tak wielogłosowe narracje.

W październiku 1884 roku, kiedy umarła panna Willatt, odczuwano, jak to ujmuje

jej biografka, że *świat ma prawo dowiedzieć się więcej o tej zachwycającej, choć nieśmiałej kobiecie*. Wybrane przymiotniki najlepiej świadczą o tym, że ona sama nie podzielała tej opinii, chyba że ktoś zdołałby dowieść, iż świat na tym zyska. (...) Gdyby wziąć owo początkowe zdanie i przeprowadzić jego moralną analizę, można by zapełnić całą stronę interesującymi pytaniami. Jakie prawo ma świat, by dowiadywać się czegośkolwiek o mężczyznach i kobietach? O czym biograf może nas poinformować? A następnie: w jakim sensie możemy mówić, że świat na tym zyska? (Virginia Woolf, *Wspomnienia o pisarce*, [w:] *Nawiedzony dom. Opowiadania zebrane*)

Nie umiem sobie nawet wyobrazić, co odczuwano, gdy w marcu 1941 roku umarła Virginia Woolf. Nie mam pojęcia, co ona odczuwała, gdy szła ubrana w ciężkie palto, które już za parę chwil obciążone kamieniami, przesiąknięte wodą pociągnie ją na dno rzeki Ouse. Czy Virginia chciałaby, by o niej pisano? By świat wciąż się o niej dowiadywał czegoś nowego?

Mogę się tego jedynie domyślać, a wszystko, co wymyślę, choćby oparte na lekturze dzienników, listów, wspomnień i biografii, będzie i tak tylko zmyśleniem.

28 marca 1941 roku to był piątek. Podobno chłodny, acz słoneczny. A ona podobno szła zdecydowanym krokiem, jakby chciała wyprzedzić ewentualne wątpliwości po podjęciu decyzji. *Nie mogę już dłużej walczyć* – napisała w liście pożegnalnym do swojego męża, Leonarda. Bo jak wynika z dzienników i listów, całe jej życie było walką.

Adeline Virginia Stephen przyszła na świat w styczniu 1882 roku jako trzecie dziecko sir Lesliego Stephena i Julii Prinsep Duckworth. Dla obojga rodziców było to drugie małżeństwo i oboje posiadali już dzieci z poprzednich związków. Tym sposobem Virginia wychowywała się w otoczeniu siostry i dwóch rodzonych braci oraz przyrodniego rodzeństwa, dwóch siostr i dwóch braci (którzy – jak się później okaże – wykazywali daleko większe przywiązanie do swoich przyrodnych siostr, niż nakazuje przyzwoitość...).

Sir Leslie Stephen był znanym pisarzem, filozofem, historykiem, matka Virginii, jak to było w zwyczaju, zajmowała się rodziną. Wszyscy mieszkali w dużym, ciemnym domu o ciężkich kotarach i mrocznych korytarzach. Wspaniale wyposażona biblioteka stała się podstawą edukacji Virginii i Vanessy, gdyż dziewczęta nie zostały wysłane do szkoły ani na studia.

Pierwsze głębokie załamanie nerwowe Virginia przeszła po nagłej śmierci ukochanej matki i niedługo później przyrodniej siostry Stelli (Virginia miała wtedy 13 lat). Od tamtej chwili rozpoczął się okres mroku. Życie w ciemny, dusznym, wiktoriańskim domu pod władzą egocentrycznego ojca, którego Virginia niejednokrotnie nazywała tyranem, zdawało się koszmarem.

Wraz ze starszą siostrą, Vanessą, która do końca życia pisarki będzie jedną z najbliższych

jej osób, miały zastąpić matkę i starszą siostrę w roli opiekunek domowego ogniska. Musiały zmierzyć się z realiami wiktoriańskiego świata. Świata, w którym kobiety nie miały prawa głosu, w którym za naganne uważano, by kobieta chciała się uczyć, a wręcz ujmą było, gdy miała własne zdanie. Kobiety przygotowywane były do ról żon i matek, a głównym ich zadaniem było opiekowanie się mężczyznami.

Kiedy w 1904 roku umrze Sir Leslie Stephen, Virginia przejdzie kolejne załamanie. Gdy dojdzie do siebie, rozpocznie się jaśniejszy etap życia siostr. Sprzedadzą rodzinny dom przy 22 Hyde Park Gate i kupią tańszy, mniej wystawny przy 46 Gordon Square w Bloomsbury. Tam będą mogły odetchnąć świeżym powietrzem, zerwać ciężkie zasłony i szeroko otworzyć okna na nowe. Rok później Virginia rozpocznie swoją karierę pisarską, a kilka lat później zostanie panią Woolf, poślubiając Leonarda Woolfa, jednego z przyjaciół jej brata z uniwersytetu. Nim to jednak nastąpi, salon przy Gordon Square niejednokrotnie wybrzmiewać będzie śmiechem i rozmowami po świt.

Virginia Woolf fascynuje, a jej pisarstwo zachwyca do dziś. Pośród książek jej poświęconych chyba najbardziej znaną jest biografia pisarki autorstwa jej siostrzeńca Quentina Bella, pod tytułem *Virginia Woolf. Biografia*, lata temu wydana w Polsce przez wydawnictwo Twój Styl. To bogato ilustrowana zdjęciami książka, pokazująca złożoność natury Virginii, malująca ją jako barwną, wrażliwą kobietę, walczącą ze stanami depresyjnymi, ujmującą i błyskotliwą z jednej strony, z drugiej złośliwą, zadziorną, zazdrosną o sukcesy innych, w tym ukochanej siostry. Pokazująca ją jako osobę cierpiącą z powodu braku macierzyństwa, jednocześnie oddaną mężowi i pragnącą intymnych relacji z kobietami, o których sądziła, że są daleko bardziej zajmujące i złożone. To obraz kobiety, która całe życie walczyła i przełamywała konwenanse. Książka dziś do zdobycia raczej w antykwariatach lub Internecie, często za cenę wielokrotnie przewyższającą detaliczną. Pojawiają się jednak kolejne prace dotyczące życia tej niezwyklej pisarki. Jedną z nowszych jest wydana kilka lat temu kontrowersyjna biografia autorstwa Viviane Forrester *Virginia Woolf. Opowieść biograficzna*. Tezy, które wysnuwa tam biografka, to zupełnie nowe spojrzenie na mit Virginii i Leonarda, Vanessy oraz członków grupy Bloomsbury i ich relacji. Książka skłania do refleksji. Virginia Woolf, choć przedstawiana tam jako silna, spragniona miłości, pełna emocji, rozbudzona erotycznie kobieta, jednocześnie zdaje się całe życie oszukiwana i kierowana przez ludzi jej nieprzychylnych. Który obraz pisarki jest prawdziwy? Jakie były relacje między nią a jej bliskimi? Trudno z dzisiejszej perspektywy oceniać. Może więc lepiej sięgnąć choćby po błyskotliwe eseje Virginii Woolf, w których aż czuć siłę, świadomość i determinację. Po dziś dzień stanowią inspirację dla wielu kobiet, które przecież, mimo postępu i zmian społecznych, nadal niejednokrotnie muszą walczyć o własny pokój i trzy gwinee...



Rys. Karolina Lewandowska

KAROLINA SZYMAŃSKA

Zróbmy sobie kryjówkę w lesie
 Przystań dla naszych uniesień
 Zbudujmy szałas
 Z naszych nagich ciał
 Wśród mchu i igieł
 Dzieją się dziwne
 Dzikie żądze
 Pierwotnej natury
 Przyniosą ukojenie
 Gdy otoczeni listowiem
 Uwolnimy pragnienie

ZIELONY

Jesteś dobry jak natura
 W rozkwicie
 Nieskalana zgiełkiem tego świata
 Twe tony jest skarbem
 Najczystszy
 Jak wiosenny powiew wiatru
 W środku jesteś łagodny jak mech
 Dajesz ukojenie dla zmysłów
 Lepsze niż najstodsi sen

MONIKA STĘPIEŃ

Pierwsze pękają mi paznokcie. Patrząc w przyszłość, to lepiej.
 Gdy nie ma paznokci, nie ma rozdrapywania ran.
 Połknę wypadające zęby, żebyś nie zauważył, że coś gryzie mnie
 od środka.
 Będę pocila się ze zdwojoną solą, bo nie pozwolę sobie na płacz.
 Zasmaruję klejem powieki, zrobię z suchych traw rzęsy,
 żebyś czując zapach późnego lata nadal wierzył, że jestem zdrowa.
 Przyszyję do siebie łopatki i ukryję opadające ramiona.
 Za nitkę włożę różgę z dzieciństwa, by nie móc się garbić.
 Wytnę dwa wąskie księżyce z pozłotka i schowam w workach, by dodać
 blasku spojrzeniu.
 Nocą do worków nawkładam piór, żebyś czuł miękkość mojej skóry.
 Przyczepię do zegarka torbę na spadające sekundy, a rano przykleję je
 znów do tarczy.
 Nie będę darła się na głos i na pół.
 Nigdy nie pozwolę Ci jej zauważyć.
 Każdego dnia coraz bardziej będę ściszała głos.
 Po szepcie odważę się na milczenie i nigdy nie pozwolę Ci się o niej
 dowiedzieć.
 Każdego dnia oddalimy się od siebie o kilka słów, aż nie zostanie nic. Nic
 do powiedzenia i do widzenia.

MARTA PIETRASZUN

KOŚCIÓŁ JEST MOJĄ MATKĄ

Byłam w środku
 Kiedy już wyszłam trzymałam się blisko
 Chciałam dorosnąć, kłóciłam się, ale trwałam przy
 Cenię
 Miłość, oddanie, wierność
 Bagatelizuję
 Zaborczość
 Wybaczam,
 Że chce mnie mieć na własność



Rys. Karolina Lewandowska

Z PÓŁKI PÓŁKOWNICZKI

Półkowniczki – nieformalna grupa piszących kobiet związana z *Olsztyńskim Literackim Miesięcznikiem Mówionym*.

*Co u Ciebie?
Przyjdź do mnie?*

